

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 26 lutego 1950 r.

Nr 8 (239)

STEFAN DYBOWSKI

ORGANIZACJA KULTURY*)

Jeżeli spojrzymy na okres działalności Ministerstwa Kultury i Sztuki, które od 1948 roku rozwinęło swą działalność w oparciu o decyzje Komitetu Ministrów do Spraw Kultury musimy przyznać, że zwłaszcza w roku 1949 zdołano szereg instytucji kulturalnych wprowadzić na drogę stałego rozwoju, upaństwowiając teatry, opery, filharmonie, muzea i szkoły artystyczne. Nie ta jednak działalność jest najważniejszym zadaniem Resortu Kultury i Sztuki.

Istotnym zadaniem Ministerstwa jest obok administrowania instytucji i wchodzących w zakres twórczości kulturalnej i artystycznej, także opieka nad twórczością i kierowanie przemianami, które się w niej dokonują. Jest to problem sztuki nowego etapu historycznego, w którym potrafi ona znaleźć prawdziwy wyraz artystyczny dla przemian i dokonań charakteryzujących naszą rzeczywistość. Równocześnie sztuka, która by zniosła przepaść dzielącą twórcę od konsumenta.

Nie jest to zadanie łatwe. W pełni zdajemy sobie sprawę z trudności z nim związanych. Rozwój poszczególnych gałęzi sztuki w minionym okresie doprowadził je do rozwiązań formalnych, często niedostępnych dla przeciętnego konsumenta. Nie znaczy to oczywiście, abyśmy z tego powodu przekreślali całkowicie zdobycze owego okresu. Działalność muzyki, plastyki czy literatury powinna korzystać ze wszystkich osiągnięć techniki artystycznej, zdobytych w jego dziedzinie przez prace poprzednich pokoleń, musi je jednak przetworzyć w tygłu przeżyć własnych, a zwłaszcza przeżyć nowego społeczeństwa, dla którego tworzy, którego jest częścią składową.

I ten przede wszystkim problem zbliża dziś do siebie różne dziedziny sztuki. On też stał się główną troską Ministerstwa.

Oczywiście jest to zadanie, którego nie dokona żaden choćby najgenialniejszy pracownik administracyjny. Nie podoba mu też chociażby liczbowo poważny zespół, najgenialniejszych administratorów, nawet w oparciu o wystarczający budżet.

Jest to problem nowej twórczości artystycznej i dlatego jego rozwiązanie oczekujemy od samych artystów. Od nich będzie zależało, jakie postawią sobie zadania oraz jak będą realizować zadania, postawione im przez społeczeństwo i epokę. Dążeniem Ministerstwa jest jedynie ułatwić im tę pracę i pomóc znaleźć właściwe drogi.

Realizując to dążenie Ministerstwo już w 1949 roku weszło na drogę organizacji licznych dyskusji, konferencji, zjazdów twórców. Zjazdy kompozytorów, literatów, plastyków, dramaturgów, filmowców, historyków sztuki, Festiwal młodej twórczości artystycznej w Poznaniu wykazały, że w twórczej krytyce i samokrytyce w ogniu dyskusji, w konfrontacji definicji i założeń teoretycznych z realną treścią artystyczną odkrywa się pierwsze założenia, zaczyna się budować fundamenty przyszłej polskiej kultury socjalistycznej.

Dlaczego tak wolno? Dlaczego tak trudno?

Jest to, sądzę, w pierwszym rzędzie trudny problem nowego człowieka. Nowy człowiek podczas okresu burz i niepokojów objawia się z całą siłą i całą wyrazistością w codziennej swojej działalności, lecz tylko z trudem i tylko z największym wysiłkiem może ten okres objąć w tak krótkim czasie swoim własnym przeżyciem artystycznym i odpowiedzieć własną twórczością na codzienny bieg wydarzeń. Nie wystarczy tu samo zdeklarowanie się, konieczna jest stopniowo narastająca wizja artystyczna własnego stanowiska.

Jest to zarówno problem twórcy, jak i problem odbiorcy. Ponieważ i twórca i odbiorca w przekroju zjawisk rewolucji ludowej dopiero powstają.

I dlatego o ile rewolucje społeczne są wyrazem historycznego skoku określonego w czasie i przestrzeni, o tyle na rewolucję kulturalną składają się długi i żmudny proces dojrzewania poszczególnych elementów nowej kultury. Proces ten musi zachodzić w pierwszym rzędzie w umysłach ludzi tworzących dzieła sztuki i w głowach ludzi chłonących dzieła sztuki.

I dlatego nikt z nas nie stawia zagadnienia nowej kultury socjalistycznej w płaszczyźnie bezpośredniego

zawomienia na określone dzieło sztuki. Nowa sztuka, sztuka Polski socjalistycznej może powstać w oparciu o przeobrażenia społeczne kraju, w oparciu o udział najszerszych mas w rewolucji kulturalnej, tylko jako akt indywidualnego przeżycia, indywidualnego doznania samego twórcy, który zrozumie i pojmie istotę socjalistycznej rewolucji w naszym kraju.

Naszym zadaniem jest postawić przed artystą problematykę tak różnorodną w treści i tak różnorodną w formie, żeby wyczuł, żeby przeżył duszę odrodzonego narodu, jego walkę, jego cierpienia, jego radość i jego twórczość. Żeby twórczość narodu idącego w przyszłość stała się twórczością pisarza Polski Ludowej, żeby prawda człowieka pracy, twarda prawda, często bolesna, a jakże jednocześnie wielka w walce o nową lepszą przyszłość stała się prawdą ludzi pióra. Naszym zadaniem jest stworzenie dla artysty takich warunków, żeby zobaczył siebie w twórczym się obok niego życiu, żeby zobaczył siebie w wielkim akcie nowych fabryk, żeby zobaczył siebie w wielkim akcie budowania ustroju rolnego, żeby w przeżyciach narodu zobaczył swoje przeżycia i dzięki temu żeby z kolei odbiorca zobaczył w jego dziele samego siebie.

Jeżeli to osiągnęliśmy, to wygramy walkę o nową, polską, socjalistyczną twórczość artystyczną i tylko dzięki temu wygramy walkę o kulturę narodu w naszej socjalistycznej epoce.

Dругие wielkie zadanie Ministerstwa, to sprawa udostępnienia poprzez teatry, koncerty, wystawy, film i wydawnictwa wytworów kultury i sztuki najszerszym masom społeczeństwa. Nie jest to sprawa tylko ilości miejsc i ilości biletów, ilości książek i wystaw. To sprawa przekroju społecznego, odbiorców i ich przygotowania. I tu Ministerstwo spowodowało już zdecydowaną i stale postępującą przemianę w układzie socjalnym odbiorców dóbr kulturowych.

W ciągu ostatnich dwóch lat masa odbiorców kulturowych przekształcała się z mieszczańsko-inteligenckiej na inteligencko-robotniczą i przy dalszej aktywizacji partii i związków zawodowych oraz niesłabnących wysiłkach Ministerstwa proces ten stale będzie się pogłębiał, zwiększając jednocześnie zasięg oddziaływania kulturowego ze szczególnym uwzględnieniem środowiska wiejskiego, zwłaszcza poprzez sieć imprez objazdowych.

W każdym razie możemy już dziś stwierdzić, że ze strony odbiorców kulturowych znikł już naciek mieszczańskości i mieszczańskich gustów na artystę. Czytelnik, widz i słuchacz jest już dzisiaj czynnikiem wpływającym dodatnio na ugruntowanie właściwej postępowej linii artysty.

Zmiana przekroju socjalnego odbiorców specjalnie jasno uwidoczniła się w teatrze, gdzie umożliwiła nam trwałe wprowadzenie do repertuaru sztuk radzieckich, których liczba w ciągu ostatniego sezonu wzrosła z 18 premier w 1947/48 do 41 premier w 1948/49 roku niezależnie od 17 premier rosyjskiej klasyki oraz pozwoliła nam podnieść liczbę współczesnych premier wartościowych społecznie z 68 do 78, zmniejszając jednocześnie liczbę premier bezwartościowych społecznie z 99 do 28. Dane te są tym bardziej charakterystyczne, że ogólna liczba premier w roku 1948/49 spadła w rezultacie znacznie dłuższego okresu poszczególnych przedstwień z 571 do 301.

Oczywiście niemniej jednak jest to problem wymagający stałej czujności i nieustannego pogłębiania.

Następne wielkie zadania Ministerstwa to: sprawa przygotowania nowych kadr artystów, pedagogów i pracowników kultury, opieka nad ruchem amatorskim, jako podstawowym czynnikiem aktywizacji kulturalnej, opieka nad zabytkami w celu utrwalenia i udostępnienia ich masom, aby umożliwić im poznanie perspektywy przyszłego rozwoju przez poznanie zobiektywizowanych materialnych szczytowych przejawów minionych okresów, minionych etapów rozwoju, inicjowanie i koordynowanie badań naukowych w zakresie kultury i wreszcie wzmocnienie propagandy naszego dorobku artystycznego zagranicą.

Stefan Dybowski

*) Fragment referatu, wygłoszonego na Kom. sji Sejmowej.

Włodzimierz Majakowski

Hasta — Rymy

Dziesięć minęło lat,
Wróg wciąż
o najeździe śni,
Może znowu
z wojennych szlaków
kurz poderwać
tętniące dni,
Wróg jest gotów.
Gdy bitwa grozi,
ucz się,
w żołnierskim szeregu
kroczyć.
Ucz się,
gdy atakuje
złośliwy gaz cie,
w oka mgnieniu
śmierci
pokazać maskę.
Kto uśmierzy burzują,
co na odcisk
włazi nam?
Umiej dać sobie radę
z cekaemu taśmą.
Wróg się
diabelski
szykuje do szturm, —
umiej
bagnetem
wiercić w brzuchu dziury mu.
Ententa nawiewa, —
kto dopędzi teraz ją?
wrogą szajkę gonić
ucz się, kawalerio.
Koło fabryk
dywersanta
rozlega krok się.
Towarzyszu
naganem
ucz się włączyć
dobrze.
W bloku zatoki, floto,
nie wieki stać ci.
Marynarze,
flotę radziecką
wzmacniajcie!
Tylko ucichł,
lecz nie zgasł
bitwy ogień.
Komsomolcze i komsomolko,
bądźcie gotowi.
Serce
republika
z armią stopiła —
która masa twardość,
jak ten stop,
zachowała?
Armia Czerwona —
to nasza siła.
Naszej
Armii Czerwonej
chwala!
1928
Przełożył Wiktor Woroszyński



W 32-gą rocznicę powstania Armii Radzieckiej

Władysław Machejek

Miechowskie patrzy na Wysocice

Powoli jak po smole tłuł się do Miechowa traktor w dół świeżo remontowaną drogą „wobromską”. Z tyłu waz kurzu. Słońce wrześnie łagodnie paliło i pachniało jak dojrzwały winnik. Z rozorywanych ściernisk niósł się silny aromat, jakby rozgrzebywano pokład ziół.

Młody traktorzysta drzemał przy kierownicy. Nagle na pełnym gazie wywalał pod górę samochód ciężarowy. Szofer dał sygnał ostrzegawczy. Traktorzysta ocknął się, silnie nacisnął kierownicę. W tym momencie ciężarówka zawadziła o przed traktora i runęła z trzaskiem na bok. Usmarowany szofer z trudem wy dobył się zza kierownicy, pierwsze prerażenie minęło, ból głowy, którą uderzył o strzaskany licznik, pomnożył wściekłość. Nie obeszło się bez „takich owakich”. Zrozumiałe.

Z jarmarku powoli wleki się chłop na furach, rozgadani o cenach tekstyliów i butów na straganach. Furmanki stawały sznurmem. Napór cizby odsunął pniącego się w przekleństwach szofera od traktorzysty. Stał on z pokrwawionymi rękami obok rozwalonego traktora, błąd, tłumacząc się beznadnie. Język kleił się do zalazłych brudem ust. Przecierał bezradnie oczy.

— Skądżeś ty?
— Z Wysocic.
Brzuchaty chłop podsunął łokieć pod brodę traktorzysty, obłudny uśmiech zgasł mu na twarzy.
— To i spółdzielnia się skończyła—

wysunął dolną wargę pogardliwie i splunął, jakby na drodze nie stał potluczony człowiek, ale leżało łajno. Wyorywacz — techniczny symbol — nowych wartości na wsi — traktor, leżał rozbity...

— Masz pozwolenie? — teraz szofer doskoczył do traktorzysty.
— Nie.
— No to jakże?
— Trzeba było orać, czas najwyższy, to i orałem, bo ośrodek maszynowy podjął się to zrobić dla spółdzielni — klarował swe stanowisko niepewnie. — Był niejaki Glamasa na kursie w Opolu, ale tam uczył tylko na Buldoggach i Fergussonach, a tu dali „Zetor”. Nie miał pozwolenia na „Zetor”, to i nie chciał orać.

TOR zabrało Glamasa na dodatkowe przeszkolenie. A Komitet Powiatowy wziął na siebie odpowiedzialność za tego, kto podejmie się dalszych prac w polu na drugim „Zetorze”. Zgłosił się sprytny, mający złyk do mechaniki Chwastek, członek spółdzielni. Nie, nie mogło być „końca” spółdzielni. Orka dopiero objęła pierwszą połac ziemi.

W podmiechowskiej, bogatej Brzuchani kulak Niechciol trząsł się na wiadomość o katastrofie traktora.

— Kropka — powiedział. — Było błoto w Wysocicach, będzie błoto... Nie można świata do góry nogami przewrócić. Kropka.

Wtórowali mu na odległość inni bogacze — z Gólczy. Zły uśmiech

rozszewlał Wiktor Syguła, krztusząc się słowami o „drace” wysockiej.

— Biskup Kaczmarek mówił na majowej wizytacji w Czaplach Wielkich, że nieznanym jest los Wysocic, które dają do spółdzielczości. O! i macie fakt, wyprorokował...

Bachuski Władec z Wysocice obracał powątpiewająco kędzierzawą głową. Wyjął ręce z kieszeni, oponował dwoma zmarszczkami na czole.

— Tamci bzdą na takie gadanie — prześwidrował łeb kulaka jedynymi słowami. „Tamci” oznaczało „my”.

Któż nie pamięta biskupa Kaczmarka? Z tej samej kazałnicy, z której dawał przytyka spółdzielni produkcyjnej, ksiądz proboszcz odczytywał jego list pasterski w 1941 roku, nawołujący do lojalności wobec Hitlera i potępiający pierwszych ochotników wolności.

— Nie mogę się z wami zgodzić — tłumaczył już po przeoraniu miedzi Gajkowski, zdrowy, wyżarty 25 hektarów z Wysocic. Jakże się liczy jakiemus gołodupcowi z pół hektarem do mnie, a choćby i Mietkowi Majchrowskiemu. Cóż jego 5 ha do mojego pola i mojego lasu? Nie, nie mogę się zgodzić, chociaż spółdzielczość piękna rzecz.

Przewodniczący spółdzielni „Przodownik” średniego wzrostu Pietrek Kurach mocno przyklnął oczy. Mocno także westchnął. Ze zbroczy wzniesienia na wschód od wsi pachniało grzybami, to znów pleczoneymi

ziemiakami. Siwy dym płał się, szybko zapadał pożerany przez mokre powietrze rozpadlin. Wokół słońca krążyły, jak liście na wietrze, odlatujące ptaki. Towarzyszowi Pietrkowi przenikliwie błysły oczy.

— Wy mnie tu nie papracie głowy. Nie, to nie. I tak by mi was teraz wylali. Wilk się nie zgodzi ze spokojnym stadem. Wtedy — na początek organizowania spółdzielni — byłem głupi, jak dziurawy but. Bałem się oporu, bałem się walki i tutejsza partia też się bała walki z możnymi, zatłuszczonymi flakunami. Wyście mieli być przynęta... Prosiłmymy was o przewodzenie zebraniu. Pfu, jakim ja był ślepy. Teraz wiem! Spółdzielnia musi mieć wyraźne, klasowe oblicze, żeby była własnością mało i średniorolnych. Jeżeli dziś u tego czy owego członka obserwuję apatię, to z powodu błędu, jaki popełniłmymy przy zakładaniu, kumając się z wami, szanowny Gajkowski... Osłabiłmymy poparcie mało i średniorolnych dla spółdzielni, „trucizna strachu przed wami nie przestała jeszcze całkowicie działać.

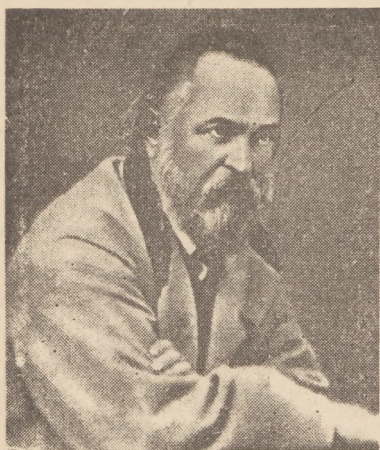
Puknął się zgitym palcem w szerokie, jasne czole.

— Gdzie sens był, gdzie rozum?! Nie idea, ale kulak miał być atrakcją nowego życia. Czy by się co zmieniło? — To też uczciwie postąpiłem — nie chciałem przystąpić do spółdzielni, po co miałem być komu solą w oku?

(Dalszy ciąg na str. 2).

Z. P. BAZILIEWA

HERCENA POLSKA*)



Hercena

Jeszcze na długo przed 1863 r. sprawa polska zajmowała w „Kołokole” wyjątkowo miejsce: pod wpływem zdarzeń, które zaszły w Polsce, zainteresowanie tą kwestią w piśmie Hercena wzrasta. Już w końcu 1860 r. i na początku 1861 r. zwiększa się liczba artykułów na tematy polskie i wzrasta ilość najbardziej aktualnych informacji z Polski, gdzie represje rządu carskiego przybrały w tym czasie nowy charakter.

Nie poprzestając na zniesieniu tych nieznacznych ulg, które nadane zostały Polsce przy wstąpieniu na tron cara, a także nie zadowalając się tłumieniem wszelkiego rodzaju objawów życia społecznego, administracja miejscowa, przechodzi często na system krwawego terroru. Od kwietnia 1861 r. stosowanie siły zbrojnej w Polsce zostało ułatwione, gdyż Komitet Ministrów zatwierdził zarządzenie o metodach postępowania w wypadku ogłoszenia stanu wojennego w jakichkolwiek miejscowościach Guberni Zachodnich?

Demonstracje, które zostały zorganizowane w odpowiedzi przez naród polski, wywołały nowe represje. W rezultacie z miesiąca na miesiąc coraz bardziej zaostrzała się atmosfera polityczna na terytorium „Królestwa Polskiego”.

Sledząc uważnie sprawy polskie „Kołokol” nie ogranicza się do ogłoszenia przychylnych informacji, nie poprzestaje na roli przyjaznego, ale postronnego obserwatora.

Wrecz przeciwnie, silny wiarą w słuszność i żywotność swoich zasad, staje się czynnym uczestnikiem rozwijających się zdarzeń.

Na wieść o pierwszych wystrzałach w Warszawie na wiosnę 1861 r. „Kołokol” zwraca się do Polaków z przyjaźliwym współczuciem. „Wszystkie serca grubiańskie, przynusowe zjednoczenia — pisze w swoim artykule — prowadzą nie do jedności, ale utrwalają nienawiść... Pochłonięciem Polski przez Rosję carską jest niedorzecznością, przemocą”. W innym artykule Hercena pisze, że rozstrzelaniu w Warszawie zatrzymano radość z okazji uwolnienia chłopów: „Nasze święto było smutne. Nie znam dnia, w którym by rozstrzelanie dusiło okrutnie i ciężko, w którym by lampiony były tak bliskie też... Radość nasza zbladła wobec wieści o warszawskich zabójstwach”.

Taka podstawa poważnego pisma była natchnieniem uznana przez działaczy ruchu polskiego, jako jego czynne poparcie.

Przedrukowując po polsku z „Kołokolu” artykuł Hercena „Mater dolorosa”, pismo polskie „Przegląd Rzeczy Polskich” (z dn. 22 maja 1861 r.) podkreśla, że artykuł ten dowodzi, iż zostały zlikwidowane wszelkie różnice między nim a „Kołokolem”. Hercena otrzymuje cały szereg listów dziękczynnych. Jeden z nich, od polskich emigrantów zamieszkałych we Francji, — nazywa wprost artykuły Hercena w „Kołokole” czynami bohaterkami: „Niech będzie błogosławiony Wasz czyn bohaterki, — czyn święty i patriotyczny, gdyż niewiela, w którą została wtrącona Polska jest niewiela, ciężką nad samą Rosją. Myślny ze swojej strony w 1831 r. wypisali na naszych standardach: „Za naszą wolność i waszą”. — „Vivat Polonia” — taki jest wasz okrzyk, wychodzący z głębi serca.

Dzięki Sz. P. za tę szlachetną cześć, którą okazał dla zasady solidarności narodów...”

Alle Hercena, popierając swolm udziałem i przychylnymi artykułami w „Kołokole” atmosferę rewolucyjną w Polsce, nie zamykał oczu na fakt, że hasło wspomniane przez emigrantów polskich w liście z Francji — „Za naszą wolność i waszą”, — było zrozumiałe nie dla wszystkich Polaków, że w gwałtownym patriotyzmie wielu z nich kryje się niebezpieczeństwo nacjonalizmu. Dlatego stawia on przed „Kołokolem” drugie zadanie — wyjaśnienie w dalszym ciągu idei dwóch Rosji: carskiej — konserwatywno-szowinistycznej i ludowej — postępowej, przyjaźnej Polsce i wszystkim innym narodowościom imperium rosyjskiego.

W artykule „Kołokolu” stale podkreśla się, że: „Wszelkie nasze starania, wszystkie nasze wysiłki zmierzają do tego, aby niezawisłość narodu polskiego oraz wolność narodu rosyjskiego opierały się na wspólnym, braterskim działaniu, skierowanym przeciw petersburskiemu despotyzmowi. To, co dla tego celu jest przede wszystkim konieczne, to ścisły sojusz, wzajemne zaufanie i szacunek między uczestnikami ruchu obu krajów”.

Hercena z radością przyjmuje odnośny zrozumienia tej zasady wśród Polaków (np. przyjaźnie w stosunku do Rosji wystąpienie emigranta Beniowskiego, na mityngu w Londynie) i drukuje skierowane do organu polskiego, „Przegląd Rzeczy Polskich”,

podziękowanie wydawców „Kołokola” dla wszystkich Polaków, którzy przyjaźnie zareagowali na artykuły pisma.

W tym samym celu zbliżenia przodujących bojowników obu narodów Hercena pilnie śledzi wszystkie objawy współczucia dla sprawy polskiej w Rosji (np. nabożeństwa żałobne w Petersburgu za ofiary warszawskie), jak również gromadzi w redakcji pisma, dokumenty wyrażające to współczucie.

Publikując w nr 103 „Kołokolu” z dn. 15 lipca 1861 r. list „Od kobiet rosyjskich — do kobiet polskich”, Hercena wskazuje: (Otrzymujemy list za listem od rosyjskich oficerów i literatów, od przyjaciół i nieznajomych, w których wyrażają poparcie dla naszego poglądu na sprawę polską. Wreszcie ostatnio nadszedł wspaniały list od rosyjskich żon, matek i siostr. Wybierają nas one na pośredników między nimi a kobietami polskimi”). „Powiedzcie im, — piszą — o naszych uczuciach i przekonaniach, powiedzcie im, że my tak jak i Wy pragniemy całkowitej i bezwarunkowej wolności i niezawisłości Polski. I niech nasz słaby głos zleje się ze smutnym dźwiękiem waszego „Dzwonu” („Kołokol” — dzwon, przyp. tłum.) i poruszycy serca i sumienia i współczucie wszystkich matek i siostr dotrze także do Polski!”.

Jeszcze bardziej znamienne są dokumenty, świadczące o rozpoczęciu się ruchu wśród wojska rosyjskiego, znajdującego się w Polsce. Materiały zamieszczone w „Kołokole” począwszy od połowy 1862 r. wykazują jeszcze jedną stronę sprawy. Jej sens zasadniczy był następujący.

Skomplikowane stosunki społeczno-polityczne tego okresu wysuwały przed Hercenem nowe trudności: będąc silnie związany z postępowymi sferami Rosji, widział jasno, że nie ma tam jeszcze sił przygotowanych do walki z rządem carskim. Jednocześnie uświadomił sobie beznadziejność odosobnionego wystąpienia Polski, bez poparcia rosyjskiej rewolucji.

Stąd wynika nowe zadanie „Kołokolu” — wstrzymać działaczy polskich przed przedwczesnym wystąpieniem.

Redaktorzy „Kołokolu” wielokrotnie zwracali się do działaczy polskich z taką radą, począwszy jeszcze od 1861 r., kiedy Ogarew w artykule „Odpowiedź na odpowiedź” „Wielkorusa” gorąco przyzywał Polaków, aby nie występowali w odosobnieniu od sił rewolucyjnych Rosji. W swoim liście do Cwierciakiewicza z dnia 28 października 1862 r. Hercena próbuje po raz ostatni namówić adresata, który był przedstawicielem najaktywniejszych grup ruchu polskiego, aby nie zaczęli powstania, ale wykorzystali 2 — 3 lata w celu lepszego jego przygotowania, wzięwszy pod uwagę, że w tym czasie otrzymają silnego sojusznika w postaci rosyjskiej organizacji rewolucyjnej, która narazie jeszcze nie istnieje.

Równocześnie możliwość powstania zbliżała się, pod wpływem polityki rządu carskiego, który bez podstawy uciekał się do użycia siły zbrojnej i tym wzbudził społeczeństwo polskie. Dlatego redakcja „Kołokolu” uważa za swój szczególny obowiązek zwrócić się do wojska rosyjskiego w Polsce z odezwą, aby nie użyło broni w stosunku do Polaków.

Już na pierwsze wystrzały w Warszawie „Kołokol” niezwłocznie odpowiada artykułami Hercena, w których daje on ocenę roli wojska rosyjskiego w Królestwie Polskim i określa jego zadania na tamtych terenach.

Artykuł „Vivat Polonia” jest cały przeniknięty uczuciem podziwu dla zdecydowanej postawy oficera rosyjskiego, który odmówił strzelania do bezbronnym.

„Z bezgraniczną dumą widzimy, — pisze Hercena, — że nie omyliliśmy się w naszych nadziejach odnośnie młodych oficerów. Z dumą patrzymy na to, jak obryzmie postępy uczynili poziom moralny (w Rosji — Z. B.) od 1831 r. i 1849 r.”

Przypominając następnie żołnierzom rosyjskim w Polsce swoją odezwę do nich jeszcze z 1854 r. nawołującą, by nie podnosili broni, przeciw sprawniejszym żołnierzom Polski i by „posiadali własną wolę”. Hercena woła: „Ginący bracia — odkupiciele! ciężka jest wasza doła, ale idźcie do karnych kompanii, twierdz, kazamatów, na śmierć — ale nie zabijajcie ani Polaka, który pragnie być sobą samym, ani chłopca który żąda wolności”.

Ta odezwa do wojska nie tylko została wydrukowana w „Kołokole”, ale również rozesłana pocztą, do jednostek wojskowych Królestwa Polskiego. Takie znaczenie nadawał Hercena rozpowszechnianiu wiadomości o śmiałym czynie oficera rosyjskiego. W artykule podkreśla się, że oficer ten, „który odmówił wykonania zbrodniczego rozkazu, ocalił honor Rosji!”

O zadaniach krytyki literackiej

(Streszczenie referatu A. Fadijewa)

ukowym i walczyła w pierwszym szeregu z wszystkimi przejawami infiltracji wrogich ideologii. Artykuły publicystyczne niejednokrotnie inicjowały owocne dyskusje ideologiczne, jak m. in. doniosłą dła życia kulturalnego Związku dyskusję o kosmopolityzmie.

Podsumowując osiągnięcia krytyki radzieckiej, wskazał jednocześnie Fadijew, że wiele jeszcze pozostaje do zrobienia:

„...w porównaniu z rozwojem literatury krytyka nasza jest słaba i nie tylko pozostaje w tyle poza ogólnym postępem kultury radzieckiej, lecz jest szczególnie słaba w obliczu zadań, jakie przed nią stoją. Należy wskazać przyczyny tego niedorozwoju. Pierwszą będzie niewątpliwie oderwanie się większości oraz odziedziczenie po literaturoznawstwie burżuazyjnym pojęcia na literaturoznawstwo, zajmujących się wyłącznie historią literatury i krytyków, pracujących nad zagadnieniami literatury współczesnej, przy czym stosunek liczebny obu grup nie wypadła na korzyść tych ostatnich. Z 200 krytyków, członków Moskiewskiego Oddziału Związku Pisarzy Radzieckich nie więcej niż 50 zajmują się literaturą współczesną”.

Fadijew wskazuje także, że dzięki stosunkom tego typu właśnie na terenie literaturoznawstwa znalazły przytułek liczne przeżytki ideologii burżuazyjnych i trudno je wypłenić, dzięki zakorzenieniu w tych kręgach kumoterstwu.

Istnieje konieczność zainteresowania się pracą Wydziałów Literackich wyższych zakładów naukowych. Wydają one „Materiały naukowe” — najzupełniej oderwane od zagadnień współczesności. Wiele prac przyczynkarskich lub jałowych błędnych zostało też ostro zaatakowanych przez krytykę radziecką. Dokładne obliczenia wskazują ponadto, że w ciągu ostatnich 5 lat wychowanek wyższych uczelni radzieckich poświęcił 212 rozpraw — przedrewolucyjnej literaturze rosyjskiej, 158 — historii literatury powszechnej, współczesnej zaś literaturze radzieckiej za ledwie 24. Mimo to brak jest nie tylko podręczników literatury współczesnej, ale i rosyjskiej. W zakresie historii literatury zachodniej nie tylko używa się podręczników przestarzałych, dezyderujących młodzież, ale brak jest w ogóle opracowań dotyczących twórczości szeregu nowszych postępowych pisarzy świata, zwłaszcza pisarzy krajów demokracji ludowych. Okromne zadania stają więc przed radziecką krytyką literacką, do których zmobilizować musi wszystkie siły i nieubлагanie tępic wszelkie przejawy tradycjonalizmu, rutyny i oddziaływania wrogich ideologii.

„Powinniśmy doprowadzić do tego, aby historia literatury i współczesną krytyką literacką zajmowali się ci sami ludzie — partyjni i bezpartyjni bolszewicy, aby na literaturę przeszłości i teraźniejszości patrzyli z punktu widzenia Lenina i Stalina. Wówczas i kadry nasze będą się kształciły na słusznych zasadach i będziemy mogli zlikwidować poważniejsze uszki naszej krytyki”.

Za główny niedostatek radzieckiej krytyki uważa Fadijew brak artykułów uogólniających, nie nadążanie za rozwojem literatury (nie wszystkie zjawiska literackie są omawiane) — oraz uchylanie

się od artystycznej oceny twórczości literackiej. Potępiła ogólnikowość i frazeologię recenzji, nie indywidualizujących zjawisk artystycznych, kwitujących problematykę artystyczną literatury kilkoma sloganami. Jako przykład braku należytego skrytykowania założonych ideologicznych przytaczają Fadijew książkę Treguba — „Żywy z żywymi”.

„W książce tej znajdują się pozytywne momenty. Cenny jest postulat opanowania techniki poetyckiej Majakowskiego, którą dotychczas rzadko kto przejmując całkowicie. Autor w świetle wielkich ideowych i poetyckich osiągnięć Majakowskiego chciał spojrzeć krytycznie na cały proces rozwoju naszej literatury. To słuszny punkt wyjścia. I tam, gdzie autor krytykuje apolityczność i indywidualizm poszczególnych naszych poetów, książka spełnia rolę pozytywną. Autor nie rozumie jednak, że nie można przeciwstawić Majakowskiemu ogromnej większości poetów radzieckich, że nie można wysuwać na pierwszy plan tylko tych pisarzy, którzy najbliżsi są poetyce Majakowskiego. Oczywiście, należy skończyć z próbami negowania twórczych wartości szkoły poetyckiej Majakowskiego. I tu Tregub ma słuszność. Gotów jest jednak bronić poetów przed wszelkimi zarzutami nawet i natury ideowej, jeśli uważa ich za kontynuatorów Majakowskiego. Chodzi mu głównie o Asiejewa i Kirsanowa, a z młodych o Gornostajewa. Obrona ta jest nieuczynna z dwóch przyczyn. Po pierwsze, jeśli chodzi o poezję Asiejewa i Kirsanowa, to ich poetycka zależność od Majakowskiego została wyolbrzymiona. Są to poeci o oryginalnym obliczu literackim. A po drugie, autor zapomina o tym, że Asiejewa krytykowano niegdyś w naszej prasie przede wszystkim za potknięcia ideowe (np. w czasie wojny), a nie za poetyckie związki z twórczością Majakowskiego. Poemat Kirsanowa „Niebo nad ojczyzną” został skrytykowany nie za naśladowanie Majakowskiego, lecz za formalizm. Wydaje mi się, że punkty widzenia Treguba jest także przejawem kumoterstwa”.

W dalszych rozważaniach wysunięto w referacie jako główny obowiązek krytyki, ocenianie każdej pozycji literackiej w sposób zasadniczy, co pozwoli uniknąć wpływu ideologii burżuazyjnej i zlikwidować opory kumoterstwa. Trzeba wprowadzić do krytyki bolszewicki punkt widzenia i na koniec należy poważnie zająć się zagadnieniami teoretyczno-literackimi.

Dotychczas nie jest to łatwe. Fadijew wspomina dyskusję, jaka rozwinęła się wokół jego artykułu „Zadania krytyki literackiej”. Szereg błędów i autora i dyskusyjantów dopiero teraz został sprostowany. Między innymi Jermiłow słusznie sprostował — stwierdza Fadijew —

„sformułowanie, w którym mówiłem o połączeniu w realizmie socjalistycznym pierwiastka romantycznego z realizmem, a także stwierdzenie, że realizm stanowi niejako pierwiastek krytyczny, a romantyzm niejako afirmatywny. Nie domyślałem do końca problemu i niezreżymowane sformułowanie spłatało istotę zagadnienia rewolucyjnego romantyzmu i jego niezbytności”.

Jednak artykuł Jermiłowa nie

LEOPOLD LEWIN

A T E N Y

Zakwitły ogrody Aten
Kwiatem różowym i białym.
Ulica wystrzela kwiatem —
Kiedy zakwitnie wystrzałem?

Wśród murów — barwne rabaty.
Promień zachwyci się rosą.
Między te mury i kwiaty,
Krwawo znacząc barwną rabatę,
Za Nike rozwinawoś rabaty,
Wtargną żołnierze zapłaty.

I zagrzmie grecka symfonia
Na Bałkan i na świat cały.
Kobietę będą płakały,
Z radości będą płakały,
Kiedy nad placem Omónia
Zmilkną ostatnie wystrzały.

Redaktorzy „Kołokolu” nie zaprzestają agitacji wśród wojska również po wybuchu powstania.

Wraz z rozpoczęciem powstania ciężar gatunkowy sprawy polskiej w „Kołokole” jeszcze bardziej wzrasta. Począwszy od lutego 1863 r. całe numery pisma są prawie wyłącznie poświęcone omówieniu wypadków w Polsce. Artykuły Hercena dotyczące tych zdarzeń podobnie jak artykuły z 1861 r., napisane z okazji „Sprawy Bezdnieńskiej” i innych stłumionych ruchów chłopskich, są przepełnione niezwykłym entuzjazmem.

Odezwy do wojska przesyłane są głębokim wzburzeniem. „Przyjaciele, bracia, żołnierze rosyjscy, pisze Hercena na wieść o poborze rekruta, — otrzymajcie nowych towarzyszy z otwartymi ramionami, pokażcie im, że naród rosyjski jest uczciwszy i lepszy niż rząd rosyjski... opowiedzcie mu o waszej gorzkiej doli, o klepaniu biedy przez dwadzieścia lat, o głodzie, o zlodziejstwach dowódców,

o tym jak was karali i jak za waszym pośrednictwem karali chłopów... A najważniejsze — pokochajcie ich, pozostali samo już się zrobi...”

Jeśli w latach 1861 — 1862 agitacja „Kołokolu” wśród wojska starała się zapobiec przelewowi krwi w Polsce, to obecnie górowało oświecenie, by możliwie jaknajbardziej zmniejszyć go, nie wyrzekając się celów wysuniętych przez powstanie.

„Hercena wciąż jeszcze żywi nadzieję, że wojsko znajdujące się w Polsce, przeciwdziałając rozkazom z Petersburga może jeszcze zmniejszyć hańbę, dokonanej przez nie rozprawy. Hercena dąży do tego celu. „Wielki bracie. — na pomoc! Powiedz słowo cywilizacji” — zwraca się wtedy Hercena do Wiktora Hugo. Odpowiedź pisarza francuskiego z załączoną odezwą do żołnierzy, wykazującą że wygnaniec Francji napoleońskiej jasno zrozumiał stworzoną sytuację. Odezwa jego zamieszczona w najbliższym numerze „Kołokolu” kończy się wezwaniem: „Żołnierze rosyjscy zachęćcie natchnienia u Polaków, nie walczyć z nimi. Przed wami w Polsce jest nie wróg, ale wójt”.

Jednakowoż świadomość niedostatecznego przygotowania wojska, i przedczesności powstania nie opuszcza Hercena: „Chmura, na którą wskazywałem przez miesiąc, oberwała się...”

Jest wielkim nieszczyściem, że powstanie polskie wybuchło zbyt wcześnie, wielu a w tej liczbie również my, robilo wszystko, co leżało w granicach naszych sił, aby je powstrzymać... Tak mówi Hercena w „Kołokole”, a w liście do Ogarewa pisze w tym czasie ze wzburzeniem: „List od Miłowicza. Dotychczas, pisze on, ani jeden żołnierz rosyjski nie przeszedł, ani jeden oficer nie odmówił wykonania rozkazu, skierowanego przeciw Polakom. Ogarnia mnie rozpacz: to gorze od rozstrzelania... Ignacy Chmieliński, zęgnając się, powiedział mi: „Potiebina, tak Potiebina — to wspaniały człowiek, ale kto jest prócz niego, kto?”

Alle na początku 1863 r. była chwila gdy zwątpienie Hercena zamieniło się w nadzieję, że równocześnie z wybuchem powstania w Polsce zostanie zorganizowane powstanie w Rosji.

„Redaktorzy „Kołokolu” podzielali poglądy rosyjskich rewolucjonistów na powstanie chłopskie, w związku z ostatecznym terminem podpisania Reskryptów narodowych.

Jednakże „na wiosnę” 1863 r. rzeczywistość nie potwierdziła przewidywań Hercena i w Rosji. „Wyzwalani” chłopci po utracie sił w odosobnionych, niezorganizowanych powstaniach 1861 — 1862 r., nie mogli okazać jakiegokolwiek oporu wobec władz.

Podporządkowują się przeważającym siłom, przyjmują Reskrypty nadawcze.

Alle świadomość wielkiego znaczenia „sprawy rosyjskiej”, która stoi na porządku dziennym, zmusza kierowników pisma do walki z caratem w Rosji.

Taka atmosfera przesycony jest artykuł Ogarewa „Przemówienie żałobne”, który był odpowiedzią „Kołokolu” na śmierć Potiebina.

W ciężkiej chwili utraty tytułu nadziei i oczekiwań autor artykułu z wiarą w ostateczne zwycięstwo twarde nawoływał do dalszej walki. „Młodzi przyjaciele! — pisze Ogarew — Wielka zgryzota i wielka nadzieja zmuszają mnie, abym z wami porozmawiał. Pożegnajcie mową chcę wczuć was do wzmożonej pracy w celu stworzenia nowego życia. Pamięć Potiebina niczym lepszym nie mogę uczcić. Zginał, poświęcając się temu nowemu życiu... Potiebina został zabity... za sprawę obcą, ze względu na odmienne stawianie zagadnień społecznych, ale swoją dlatego, że był to sprawy wolności... Przyjaciele! Odprawcie po nim takie nabożeństwo żałobne, które jest go godne. Dajcie sobie wzajemnie słowo, że będziecie kontynuować jego dzieło. Sprawy ziemi i wolności narodu rosyjskiego trzeba będzie przygotowywać nie przez jeden jeszcze dzień...” Dalej — Ogarew rozwija obszerny program rewolucyjnej działalności młodzieży — ranczożyców wśród narodu. Powinna ona dążyć do jednego celu — do walki o „Zbór Ziemiński”, który „musi zostać zdobyty” w przeciwieństwie do „konstytucji, która może być nadana”.

Poglądy te, tak żarliwie wypowiedziane tu przez Ogarewa, całkowicie podzielał Hercena; legły one u podstawy całej dalszej działalności redaktorów „Kołokolu”. Hercena i Ogarew postawili przed rosyjskimi rewolucjonistami — demokratami zadanie kontynuowania walki o wyzwolenie Rosji spod carskiego ucisku, nie zważając na wszelkie trudności, oraz zadanie skubienia do tej walki młodych sił, dowodząc przy tym, że nie należy się spodziewać szybkich sukcesów właśnie z powodu złożoności warunków społeczno-historycznych w Rosji.

tłum. J. L.

*) Z książki „Kokokol” Hercena — OGIZ 1949.

Opracowała M. Z.

Dzisiaj nie wiem wobec tego, czy wpadłem w pułapkę jako Jack Drake, czy jako Jack London. Tak czy inaczej, figuruję niewątpliwie w rejestrach policyjnych miasta Niagara Falls. Kto ciekaw, może sprawdzić u źródła. Było to w końcu czerwca 1894 roku. (Wielki strajk kolejowy wypadł akurat w kilka dni po moim aresztowaniu).

JACK LONDON

WINA I KARA*)

Z kancelarii zaprowadzono nas do „hobo” i zamknięto w pułapkę. „Hobo” zowie się część więzienia, gdzie w wielkiej, żelaznej klatce trzymają się przestępców. Towarzystwo składa się przeważnie z łazików, czyli hobo — stąd nazwa klatki. Zostaliśmy już tam kilku wczorogów, świeżo „zaczepionych”, poza tym co chwila otwierały się drzwi i do klatki wtarciano po dwóch, trzech nowych gości. Narazie dokompletowaliśmy nas do szesnastu, zaprowadzono po schodach na górę do izby sądowej. Sześć i najdokładniej opisać wszystko, co zdarzyło się w tej izbie. Trzeba wam wiedzieć bowiem, iż memu amerykańskiemu patriotyzmowi i godności obywatela amerykańskiego zadano tam głęboką ranę, która po dziś dzień się nie zabliźnia.

niem. Było to doskonale śniadanie, jeśli tylko w więzieniu dobre być może — i było najlepsze ze wszystkiego, co jedliśmy przez cały miesiąc następny.

O to mnie — wrzajem z oburzenia. Oto byłem skazany, po jakichś komediach sądu, gdzie nie tylko nie udzielono mi prawa obrony, ale nawet nie raczono wy badać Habeas corpus — oto druga zdobycz obywatela, o którą walczyli moi przodkowie — myślałem. Czekać! Ja wam pokażę! Ale kiedy upomniałem się o adwokata — rozemiano mi się w oczy. Habeas corpus? Bardzo pięknie. Ale cóż mi z tego, jeśli nie mogę skomunikować się z nikim poprzez mury więzienia! No, jeszcze pokaże, co umiem! Nie będą mnie przecie trzymali do śmierci. Czekać! Niech się tylko znajdą na wolności! Niczego więcej nie chce. Będziecie wy tańczyć, jak ja zagram! Wiem przecie, co się obywatelowi należy. Rozgłoszę ja po świecie waszą sprawiedliwość! Wzija straszliwej zemsty; wielkich liter, sensacyjnych tytułów najpoczytniejszych pisan Ameryki — tańczyła mi przed oczyma, kiedy strażnicy więzienni wyprowadzali nas z celi.

Policjant włożył mi menotki na prawą rękę (Aha! nowa zniżka. Dobrze. Czekać! Niech się wy dostanie!) i skul ją z lewą ręką jakiegoś Murzyna. Murzyn był ogromny (ponad sześć stóp), tak ogromny, że trzymając swoją rękę wzdłuż ciała — moja podnosił do góry. Był to najszczęśliwszy i najbardziej zadowolony z życia Murzyn, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Wszystkich nas skuto parami, po czym łańcuchy łańcuch stawały przewleczone przez ogniwa kajdanów i umocowano na początku i końcu podwójnego szeregu. Byliśmy więc od-tąd ogniwami ruchomego łańcucha ludzkiego. Dano rozkaz odmarszu i ruszyliśmy przez ulice pod konwojem dwóch strażników. Wielki Murzyn i ja zajmowaliśmy honorowe miejsce; mieliśmy zaszczyt przodować procesji.

Po zimnej, zgłębionej ciemności więzienia — ciepła słoneczność ulicy była zaiste oszalamiająca. Nie przypuszczałem nigdy, że może być tak słodka, jak w owej chwili, kiedy — wiezień w brzęczących kajdanach — zagnałem ją na trzydzieści dni.

Wzdłuż ulic Niagary maszerowaliśmy do stacji kolejowej, podziwiani przez gawieź, a szczególnie przez grupę turystów zgromadzonych na werandzie eleganckiego hotelu.

Łańcuch ludzi włożył się noga za nogą, aż narazicie z brzękiem i szczeniem usadowił się na drewnianych łańkach wagonu „dla palących”.

Płoniąc oburzeniem za zniewagi, zadane mi i moim przodkom — nie straciłem jednak głowy o tyle, żeby zapomnieć o praktycznej stronie sprawy. Wszystko, co mnie spotkało, było zupełnie nowe i nieznanne. Miałem przed sobą trzydzieści dni tajemnic, należało więc obejrzeć się za kims, kto zna tu kulisy. Wiedziałem już, że nie jedziemy do jakiegos zwykłego więzienia o stu lub dwustu „mieszkańcach”, lecz do ogromnej katorgi o wielotysięcznym zaludnieniu, rezydującym tam od dziesięciu dni — do lat dziesięciu.

Na pierwszą ławcę, poza mną, przykuty za rękę do łańcucha, rozsiadł się jakiś krepki, ciężki, muskułarny chłop. Mógł mieć pod czterdziestkę. Upatrzyłem go sobie na przewodnika. W kąciach oczu błyskały mu czasami błękitki dobrodusznego humoru. Poza tym było to stworzenie dzikie, kompletnie amoralne, podległe wszystkim namietnościom rozumnego zwierzęcia. Jedynym przejawem człowieczeństwa były owe iskierki poczciwego śmiechu, pojawiające się w zreniach i one to właśnie umożliwiały mi dostęp do dziekiej bestii na uwięzi. Stał się moją „pożywką”, czynił w rodzaju opiekuna i przewodnika. Przez cały czas podróży do Buffalo, „współkajdaniar” mój, zanosząc się od śmiechu, bełkotał o jakiejś bieliźnie, którą stracił niewątpliwie z powodu aresztu — ja zaś prowadziłem uświadamiający dyskurs z nowym znajomym. Miał puszą fajkę. Napiliśmy ją własnym bezcennym tytoniem (jedna porcja starczyłaby na tuzin papierosów!). W miarę rozmowy przekonywałem się coraz bardziej, że trafilem na „pożywkę” właściwą, wobec czego odrzuciłem zapuszczone korzenie, ofiarowując mu połowę swego tytoniu.

Zauważyłem już od dawna, że cechą mojej osobowości jest szczególna głośność, płynność i wrażliwość, dzięki której mogę przy dostatecznej sile żywotnej przystosowywać się do najrozmaitszych sfer i typów ludzi tak gładko i zupełnie, jakbym przeżył z nimi całe życie. Tym razem siłą woli przystosowałem się do dzikusa, chociaż nie miałem pojęcia, co będzie miało z tego. Nowy mój „opiekun” nie znalazł jeszcze katorgi, do której nas wieziono, odsiadujący już jednak po dwie — trzy — a nawet pięć — „plamkę” („plamka” oznacza rok), toteż pełen był wszelakiej medrości. Zaprzyjaźnił się więc do granic koniecznych i nabrałem otuchy, gdy oświadczył, iż udzielić mi będzie w chwilach odpowiednich wszelkich rad i wskazówek. Nazywał mnie Jack i ja go nazywałem Jack.

Pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji o dobre pięć mil od Buffalo i my — żywy łańcuch — wypakowaliśmy się z wagonu. Nie pamiętam dokładnie nazwy tej stacji: w każdym razie coś w rodzaju Rocklyn, Rockwood, Black Rock albo Rockcastle. Z miejsca tego, jakko „wielki” się zowie — prowadzono nas kilkaset kroków pociągami, po czym wadżono do zamięszonego tramwaju. Był to jakiś starocześnieki wagon z dwoma długimi ławami po bokach. Pasażer-

rów przetranslokowano na jedną ławę, nam zaś wskazano drugą. Ulokowawszy się po odpowiedniej dozie brząkania i zgrzytania żelazstwem, zasedliśmy twarzą w twarz z wolnymi ludźmi. Pamiętam jak dziś pełne lęku i obrzydzenia twarze kobiet; brano nas oczywiście za morderców i włamywaczy. Starałem się zachować możliwie godną minę, ale mój „wspólnik” — ów Murzyn, zbyt szczęśliwy — nie przestawał ani na chwilę lypać oczami, trząsąc się z śmiechu i zawodzić. „O prawo, prawko kochane!”.

Wysiedliśmy z tramwaju, przeszliśmy jeszcze z pół kilometra, po czym wprowadzeni zostaliśmy do kancelarii wielkiej katorgi hrabstwa Erie. Tam wciągnięto nas do ksiąg więziennych, w których to księgach figurują dotychczas pod jednym z dwu nazwisk. Poinformowano nas również, iż w kancelarii pozostawić należy wszystkie posiadane drobiazgi: pieniądze, tytoń, zapalki, scyzoryki itd.

Mój opiekun sygnalizował: „nie!”. — Wszystko, co weźmiacie ze sobą, zostanie odebrane przy rewizji — ostrzegł urzędnik.

Mój cicerone raz jeszcze dał znak przycięcia. Wykonywał pośpiesznie jakieś ruchy, kryjąc ręce starannie za plecami towarzyszy. (Menotki zdjęto nam w przedsiönku). Przyjrzałem się temu, co robił i natychmiast zwinąłem swoje drobiazgi w róg chustki do nosa. Zwiłki te wsunęliśmy obaj za koszulę. Więzińowie z wyjątkiem dwu czy trzech, którzy posiadali zegarki, nie mieli w ogóle zamiaru oddawać swoich rzeczy w kancelarii. Postanowili widocznie spróbować szczęścia w szmuglu, ale nie byli tak mądry, jak mój cicerone i nie zwiżali rzeczy w małą, twardą paczkę.

Nasi dotychczasowi strażnicy zabrali łańcuchy i menotki i odjechali do Niagary, my zaś wprowadzeni zostaliśmy w głąb więzienia. W kancelarii grono nasze powiększyło się o kilka nowych grup, tak że w sumie tworzyliśmy poważną procesję z czterdziestu czy pięćdziesięciu ludzi.

Niechże wiadomo wam będzie, wolni obywatele Ameryki, iż poruszenia człowieka w więzieniu są równie ograniczone, jak handel w wiekach średnich. Dostawczy się raz do miejsca pokuty, więzień pozabawiony zostaje swobody ruchów. Co parę kroków spotyka żelazne przegrody, kraty, parkany o wielkich, zawsze zamkniętych drzwiach. Z kancelarii poprowadzono nas do fryzjerni, ale po drodze zatrzymywano kilkakrotnie przed rozmaitymi drzwiami.

Pierwszy postój odbył się w ogromnym tak zw. „hallu”. „Hall” nie jest bynajmniej sienią lub korytarzem, jest czymś zupełnie specjalnym. Wyobraźcie sobie szescian podłużny, zbudowany z cegiel i wznoszący się na wysokości sześciu pięt; na każdym piętrze wyobraźcie sobie rząd cel, tak z pięćdziesiąt; wszystko to razem przypomina kolosalny klub, ułożony z plasterów miodu; szescian ustawiony jest na podłożu, otoczony ścianami i pokryty dachem, wsparty na nich. Jest to niby dom pod kiozsem. Przestrzeń między owym szescianem i kiozsem w katorze hrabstwa Erie zowie się właśnie „hall-em”. Dla całego wyobraźcie sobie jeszcze wąskie galerijki o żelaznych poręczach, biegnące przez całą długość każdego rzędu cel i zbiegające po obu końcach szescianu ku stromym żelaznym schodkom, również „w godnym jak drabin” straży ogniowej. Zatrzymano nas w „hallu” i kazano czekać, aż do rora przyjdzie otworzyć drzwi. Tu i ówdzie przesuwały się katorżnicy, czteryżni, ogoleni, w więziennych łachmanach. Zauważyłem, że jeden wychylał się z galerijki trzeciego piętra. Recę oparte miał o poręcz, oczy utkwiwone w przestrzeń i zdawał się najzupełniej nie interesować naszym przybyciem. Mój cicerone wydał nagle przeciągły, stumiony gwizd. „Więzień spojrzal w dół. Porozumieli się gestami, po czym frunęła w górę biała chustka, związana w węzeł. „Amten złapał, błyskawicznie wsunął za koszulę i znowu stał nieruchomo, wpatrzony w przestrzeń. Opiekun porządził mi pójść za tym przykłaem. Upatrzyłem chwilę, kiedy dozorca się odwrócił i posłałem swój „ładunek” w ślad za pierwszym.

W dwie minuty później otworzono drzwi i weszliśmy do łaźni i fryzjerni. Krzątało się tu kilkunastu mężczyzn w więziennych ubraniach: byli to miejscowi fryzjerzy. Nie brakło ostrej kranów z gorącą wodą, mydła i ostrych szcetek. Otrzymałmśmy rozkaz rozebrania się i wyszorowania samych siebie oraz grzebiutw bliźnię swego. Zabiegi te były najzupełniej zbędne, więzień bowiem klebio to od robactwa. Po kąpieli każdy z nas otrzymał płócienny worek.

„Ubranie do worków!” — zakomenderował strażnik. — Ani mi się wazyć próbować szmuglu! Stanąć nago w rząd! Będzie inspekcja. Chłopcy na trzydzieści dni lub mniej — zachowują buty i szelki.

Oświadczenie to wywołało zrozumiałą konsternację. Jak może nagi człowiek cokolwiek przeszmuglować, zwłaszcza po inspekcji?! Tylko my dwaj byliśmy zabezpieczeni. Obecnie otwierał się teren dla działalności obywateli fryzjerów. Krzątał się poród biednych nowicjuszy, proponując uprzejmie zaopiekowanie się ich cennymi drobiazgiami i obiecując zwrócić wszystko jeszcze dziesiętęgo wieczoru. Zdawałoby się — dobroczyńcy. Zapelnienie jak Fra Lippo Lippi! — Nigdy w życiu nie widziałem podobnie szybkiego wyładowywania. Zapalki, tytoń, biubika do papierosów, fajki, scyzoryki, pieniądze — wszystko wędrowało pośpiesznie do

otwartych kieszeni fryzjerów. Kieszonienie po tej transakcji zwiększyły znakomicie swą objętość, strażnicy jednak udawali, że nie widzą. Krótko mówiąc nie mieli zostało zwrócone. Fryzjerzy nie mieli w ogóle intencji oddania czegokolwiek; zdobyć uważali za swoją własność legalną i niezaprzeczoną. Był to ich sposób zarobkowania, uznany od dawna. W więzieniach kwitło w ogóle niezliczone mnóstwo takich „dochodów specjalnych”; z biegiem czasu musieliem się z nimi zapoznać, a nawet — dzięki memu cicerone — potrafiłem się urządzić i korzystać z nich.

We fryzjerni stało kilka foteli, a pracownicy zwiżali się szybko. Nigdy w życiu przedtem, ani potem nie widziałem równie błyskawicznego gołnienia i strzyżenia. Klienci mydlili się sami, fryzjerzy zaś pociągali brytwą po każdej gębie, licząc minutę na gębę. Strzyżenie trwało dwukrotnie dłużej. Po upływie trzech minut mój zarost osiemnastoletniego młodzieńca przestał istnieć, a głowa przypominała lśniącą kulę bilardowa, z której właśnie wytrysnęła chciała świeża ruń szczeciny. Wszystkie brody i wasy poszły precz, razem z odzieżą. Daje wam słowo — nasze powracająca procesja nie wyglądała elegancko; nie przypuszczałem nawet, że ludzie mogą być do tego stopnia brzydky.

Ustawiliśmy się w rząd — czterdziestu nagi — jak bohaterzy Kiplinga



Włodzimierz Majakowski

6 rano. Burza i deszcz. Ciemno i będzie ciemno do południa.

Ubiarasz się przy świetle elektrycznym, na ulicach elektryczność, domy w świetle elektrycznym porzecina równymi rzędami okien jak szablony reklamowych plakatów. Niezmierzona linia domów i kolorowe migające regulatory ruchu dwója się, trójja i dziesięciokrotnie w asfalcie wypukłym przez deszcz na lustro. W wąskich szczelinach domów huczy jak w kominie jakiś awanturczy wiatr, zdiera, tużce szyldami, próbuje powalić z nóg i umyka bezkarnie, niezatrzymywany przez nikogo poprzez wierzchy dziesięciu Avenue przecinających Manhattan (wyspa New Yorku) w dół — od Oceanu do Hudsonu. Z obu stron akompaniują burzy niezliczone głoski weskich uliczek, przecinających Manhattan naprzelaj od wody do wody w liniach prostych. Pod okapami dachów — a w dzień pogodny po prostu na trotuarach — leżą porzucone kupy świeżych gazet, przywiezione wcześniej ciężarówkami samochodami i rozrzucone tutaj przez gaziarzy. W małych kawiarniach nieznacni paszczą w ruch maszynę swoich ciał pakując śpiesznie w usta pierwsze paliwo: kubek parsywek kawy i parzony obwarzanek, których całe setki egzemplarzy wyrzucą maszyna piekarska w kipiący i bulgocący kocioł tłuszczu.

W dole nieprzerwaną masą ludzką płynię aż do switu — czarnofioletowy tłum Murzynów spełniających najtrudniejsze, najcięższe prace. Ptem do siódmej bez przerwy tłum biały. Idą w jednym kierunku setkami tysięcy do miejsc pracy. Tylko żółte zamolone piaszczeszce szumia jak niezliczone samowary i byszczą w elektrycznym świetle, namokłe, nie mogąc zgasnąć nawet pod deszczem.

Autobusów, taksówek jeszcze prawie nie ma.

Tłum płynię zalewając wejścia do tuneli podziemnych, prac do krytych torów powietrznych dróg żelaznych, unosząc się w powietrzu dwoma i trzema równoległymi powietrznymi kurierami prawie niezatrzymującymi się i miejscowymi pociągami zatrzymującymi się w pięciu dzielnicach.

Te pięć równoległych linii prowadzą wzdłuż pięciu Avenue na trzypiętrowej wysokości a nad 120-tą ulicą wspina się do ósmego i dziewiątego piętra — i wówczas nowych jadących prosto z placów i ulic pochłaniają windy. Nie ma tu żadnych biletów. Wrzucił w wysoką jęk słup skarbonkę — kasę swoje pięć centów, które natychmiast lupa pokazuje w powiększeniu siedzącemu w budce kasjerowi dla uniknięcia fałszerstw pieniężnych.

szturmujący Longtungpen. Teraz łatwo nas było zrewidować, istniały bowiem tylko buty — i jaźn sama w sobie. Dwóm czy trzem niedowiarcom, którzy bali się powierzyć fryzjerom dobra swe w postaci tytoniu, fajki, zapalek i drobnych, skonfiskowano to wszystko w jednej chwili. Potem obleczone nas w nowe szaty: niedorzeczne koszule więzienne i ostatentacyjnie pasiaste kurtki i spodnie. Myślałem zawsze, że w pasiaste ubrania pakują tylko zbrodniarza, więzionego co najmniej za morderstwo. Ale cóż miałem począć? Przetłamałem myślę, włożyłem insygnia hańby i poddałem się pierwszej próbie maszerowania po więziennemu.

Zbieli ciasno, gęsiego, trzymając ręce na ramionach poprzedników, weszliśmy do innego obszernego hallu. Tutaj ustawiono nas pod ścianą i kazano obnażyć lewe ramie. Miody studentek medycyny, więzień, jak i my, począł zwolna obchozić nasz szereg. Szczepił oszę akurat cztery razy przed, niż goilił fryzjerzy. Narazcie, zaopatrzonych w finalny moral, iż nie należy dotykać ranki i zdrapywać strupka — rozmieszczono nas po celach. Przed rozstaniem mój cicerone zdążył jeszcze rzucić mi szepem: „Wyssać natychmiast!”.

Jak tylko zamknięto mnie w celi, zabrałem się do wyssania zatrutej krwi. Byli tacy, którzy nie wyssali. Mieli potem na lewym ramieniu ra-

ny, w których zmieściłaby się pięść. Sami sobie winni. Mogli wyssać.

W celi zamknięto nas dwóch, skazując na wspólne mieszkanie. Towarzystwem moim został młody, męski chłopak, nierozumny, lecz bardzo inteligentny, wspaniały okaz, jeśli spotyka się czasem na jakiejś trudnej, całodziennej wyprawie. Zalety jego były tym dziwniejsze, iż właśnie skończył był dwuletnią karę w jednym z więzień stanu Ohio.

Zaledwie pół godziny przebyliśmy w celi, gdy ktoś walęający się po galerii zajrzał w nasze okienko, był to mój cicerone. Udzielono mu „swobody hallu” — oznajmił — cd szóstej rano do dziewiątej wieczór. Był to starym znajomym i natychmiast zważył się na hall-manem, czyli dozorcą hallu. Ten, który obdarzył go zaufaniem i raczył wyróżnić, należał sam do braci więziennych i swego czasu również został wywyższony. Nosił tytuł Pierwszego Dozorcy. Dozorców było w tym hallu trzynastu. Starszyznę stanowili: Pierwszy, Drugi i Trzeci Dozorca, z dziesięciu zaś młodszymi zarządzał każdy jednym rzędem cel.

My, nowoprzybyli, mieliśmy do wieczora pozostać w celach, aby szczeniarka się przyjął. Od jutra staniami do ciężkich robót w podwórku więziennym.

Przełożył J. B. Rychliński

*) Fragment książki „Na szlaku”.

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

MOJE ODK

Pięć centów, jedź sobie dokąd chcesz byle w jednym kierunku.

Wiązania i dachy kryjące powietrze drogi często ciągną się nieprzerwanie wzdłuż całej ulicy. Nie widać ani nieba ani bocznych domów — tylko turkot pojazdu po głowie i łoskot samochodów ciężarowych przed nosem — łoskot, w którym rzeczywiście trudno usłyszeć jedno słowo i aby nie odzwyczaiał się od poruszenia ustami nie pozostaje innego, jak w milczeniu żuć amerykańską gumę.

Rankiem w dzień burzliwy najlepiej jest w New Yorku. Nie widać wówczas ani jednego gapy ani jednego gamonia. Są tylko robotnicy wielkiej armii pracy dziesięciomilionowego miasta.

Masa robotnicza rozpęła się po fabrykach męskiej i damskiej odzieży, po nowych kopanych do piero tunelech kolei podziemnej, do niezliczonych robót portowych — aż około ósmej godziny ulice zapelniają się niezliczoną ilością najmniejszych i bardziej wypięgnowanych, porządnie ostrzyżonych — z goliymi kolanami i podwiniętymi pończochami wysuszonych dziewcząt, robotnic, jadących do biur, urzędów i sklepów. Dochodzą się one po wszystkich piętach drapaczy chmur po wszystkich korytarzach, do których prowadzą od frontu dziesiątki wind.

Dziesiątki wind miejscowej komunikacji zatrzymujących się na każdym piętrze i dziesiątki windkurierów nie zatrzymujących się aż do siedemnastego, do dwudziestego, do trzydziestego piętra. Specjalne zegary wskazują piętro, przez które przechodzi winda; specjalne lampy oznaczają czerwonym lub białym światłem kierunek w górę i w dół.

Jeśli masz dwa interesy, jeden na siódmym, a drugi na dwudziestym czwartym piętrze, wsiadaj w windę miejscową do siódmego piętra a dalej aby nie tracić całych sześciu minut przesiądź się do ekspresu.

Do godziny pierwszej szczeniaka maszyny, potnieją ludzie bez marynarek, rosną w papierach kolumny cyfr. Jeśli ci potrzebne biuro, nie musisz sobie łamać głowy, jak je urządzić.

Dzwonisz na jakieś trzydzieste piętro:

— Halo, proszę przygotować do jutra biuro o sześciu pokojach. Posadzić dwanaście maszynistek. Szyl — „Wielki i znakomity handel zgzeszczonym powietrzem dla podwodnych łodzi Oceanu Spokojnego”. Dwóch boyów w brązowej liberii — w czapkach ze wstążkami w gwiazdy i dwanaście tysięcy blankietów z powyższym nadrukiem.

— Good bye.

Jutro możesz się udać do swego biura a twój chłopcy zamówieni przez telefon przywitają cię uroczysto:

— How do you do, mister Majakowski.

O pierwszej — przerwa: na godzinę dla urzędników i na piętnaście minut dla robotników.

Śniadanie.

Każdy je w zależności od swej tygodniowej pensji. Piętnastu dolarowi — kupują suche śniadanie w paczce za nikłowe monety i gryzą je z całą młodzieńczą gorliwością.

Trzydziestupięciudolarowi idą do ogromnej, mechanicznej restauracji. Wrzuciwszy pięć centów naciskają guzik i do filiżanki pluska równo odmierzona kawa, a jeszcze ze dwie

nikłowe monety otwierają na ogromnych zastawionych jedzeniemi półkach jedne ze szklanych drzwiczek do sandwicza. Sześćdziesięciodolarowi — jedzą szare bliny z miodem i jajecznicy w niezliczonych białych jak wanna kawiarniach Rockefellera.

Stu i więcej dolarowi idą do restauracji różnych narodowości — chińskich, rosyjskich, assyryjskich, francuskich, hinduskich — do wszystkich oprócz amerykańskich niesmacznych, powodujących katarę konserwowym mięsem Armora leżącym niemałe od czasów wojny o niepodległość.

Stu — dolarowi jedzą powoli, ci mogą się spóźnić do pracy, a po ich wyjściu pod stołem walają się flaszeczki po 87 procentowym whiskey (dla towarzyszywa); inna szklana albo srebrna flaszeczka, płaska, dla wygody spoczywa w tylnej kieszeni jako narzędzie miłości i przyjaźni, podobnie jak meksykański rewolwer.

Jak jada robotnik? Robotnik żyje jada. Nie widziałem wielu, ale ci, których widziałem, nawet dobrze zarabiający w czasie przerwy piętnastominutowej zjadają zaledwie przeknając przy maszynie albo pod ścianą fabryki na ulicy suche śniadanie.

Kodeks prawa o pracy z koniecznym pomieszczeniem na jadalnię, jeszcze się w Stanach Zjednoczonych nie rozpowszechnił.

Na próżno szukalibyście w New Yorku oślawionej przez literaturę i wielekie karykaturyzowanej organizacji, racjonalizacji, tempa, zimnej krwi.

Zobaczycie masę ludzi snujących się po ulicy bez celu. Każdy zatrzymuje się i będzie rozmawiać z wami na jakikolwiek temat. Jeśli podniesiesz oczy do nieba i postoisz tak chwilę, otoczy ci tłum z którym policjant nie może sobie dać rady.

Znowu praca do piątej, szóstej wieczorem.

Od piątej do siódmej jest najbardziej burzliwa i najruchliwsza na mieście pora.

Z powracającymi od pracy nieszącymi jeszcze kupujący i zwykłe łaziki. Na najbardziej ludej 5 Avenue dzielące miasto na pół z wysokości drugiego piętra setki sunących autobusów, patrzysz na obmyte deszczem, lśniące jak lak dziesiątki tysięcy od rozzerwanych na sześć, osiem szeregów w obie strony.

Co dwie minuty gasną zielone światła na niezliczonych policyjnych latarniach ulicznych, a zapalają się czerwone.

Wówczas potok maszyn i ludzi zastęga na dwie minuty aby przepuścić tych, którzy napływają z bocznych ulic.

Pięćdziesiąt minut trzeba wówczas stracić na przejazd, który rano zabrały zaledwie kwadrans.

Jeśli kto nie zdąży przebiec przez ulicę i ujrzy jak zrywa się z łańcucha zastęga na dwie minuty lawina maszyn, niech bez względu na przekonania skryje się pod skrzydło policjanta. Dobrze powiedzić: skrzydło — w istocie jest to potężna łapa jednego z największych ludzi New Yorku z tego gumową palką; palka ta nie zawsze reguluje ruch. Niekiedy (na przykład w czasie demnstracji) jest ona środkiem zatrzymancia cię. Dobre uderzenie po łbie i jest ci wszystko jedno, czy to New York czy carski Białystok.

Włodzimierz Majakowski

Marsz urodzaju

Walcmy o większy plon my —
potrójny,
ziemio,
kłos daj!
Niech racy tu
szanowny
towarzysz nasz — urodzaj!
Ze orząc sam, za wiele
przelejesz, bracie,
potu,
w kołchozy i
artele
zespolic się ładz gotów!
Niezgorsza nasza gleba,
Nie ziemia — znakomitość!
Ale zawczasu
trzeba
przeorać ją
pod żyto.
Niż w ciągu lat głodowych
zębami wściekle zgrzytać,
z systemem
trójpolowym
trza skończyć raz i kwita!
Kulakom dzisiaj
biada!
Zmieciemy ich — i znikną.
Szykuje się
zagłada
szarańczy i
szkodników.

Przetrasnąć trza składnice,
skarémy
leniwy bezczyn,
by traktor
po prónicy
nie rdzewiał nam pod deszczem.
Wiatr - trzpiot
i mąciwoda
da lekcje pól ogromom.
Niechże nam rękę
poda
towarzysz nasz — agronom!
Przeciw złej gospodarce
już ziemia
staje sztorcem. —
szykujcie się do marszu
do pracy,
komsomolcy!
Niemrawa wiosko,
zniknij,
szary człowieku,
rośnij.
Z U.S.A. na prześcigi
Idź, Kraju Rad,
radośnie!
Walcmy o większy plon my —
potrójny, ziemio,
kłos daj!
Niech racy tu
szanowny
towarzysz nasz — urodzaj!

przekład Włodzimierza Słobodnika

KRYSTYNA MICHALIK NEDELKOVIC

TRAGEDIA AMERYKANSKA

WŚROD wielu pozytywnych tłumaczeń z literatury obcych, jakie ostatnio oddane zostały do dyspozycji rosnących z dnia na dzień mas czytelników, ważną pozycję stanowi „Tragedia amerykańska” Teodora Dreisera, wydana przez „Książkę”.

W lecie 1950 roku minie 25 lat od napisania tej nadzwyczaj ciekawej powieści wielkiego współczesnego realisty, wielkiego nowatora postępowej prozy amerykańskiej, Teodora Dreisera. Gdy w r. 1925 Dreiser pracował nad tą monumentalną powieścią, mającą za temat życie ówczesnej młodzieży amerykańskiej, nie był już młodym pisarzem, miał też za sobą poważny dorobek dziennikarski, nowelistyczny i powieściopisarski.

Pochodząc z ubogiej i dziny emigracyjnej, poznał Dreiser od najmłodszych lat młodzieńcze najgorzej warunki życia amerykańskiego. Już jako mały chłopak zarabiał na życie, mając się wszelkiej pracy, by utrzymać siebie i pomoc licznemu rodzeństwu. Mimo tak trudnych warunków życiowych nie wyrzekł się myśli kształcenia się, marząc o młodości: o zawodzie dziennikarskim. Widział on ścisłą więź między pracą dziennikarską a co-

dziennym życiem tysięcy wyzyskiwanych robotników, nędzarzy, bezrobotnych którym przypatrzył się w różnych większych miastach amerykańskich, gdy sam cierpiał nędzę, bezskutecznie poszukując pracy. Uczucie braterskiej miłości dla wszystkich cierpiących wskutek niesprawiedliwości społecznej cechowało Dreisera już wtedy, gdy jego zaprzątnięcie nie skrytykowały się ostatecznie, gdy jeszcze nie był komunistą.

Dzięki nadludzkiej pracy nad sobą osiągnął Dreiser swój cel. Od reportażu przechodził wnet do noweli, w których opisuje życie ubogich mieszkańców wielkich miast amerykańskich końca 19 wieku. Już w tych pierwszych nowelach wstrząsał np. opisem lynchu nad Murzynem, zdradzając swe humanitarne współczucie dla człowieka bez względu na kolor skóry oraz swe oburzenie na „wolną” Amerykę.

Długo też pierwsza jego powieść „Siostra Carrie” długo nie mogła znaleźć wydawcy. Nie uzyskała też rozgłosu jego następcy utworu powieściowca, ukazujące korpucję wśród polityków i finansistów amerykańskich, idących sobie wzajemnie na rękę i złatwiających najbrudniejsze sprawy przy pomocy przekupionej policji, ba, nawet przekupionych sędziów. Dreiser wskazuje wyraźnie, że tylko zbrodnicze kryminalne machinacje są podstawą milionowych fortun zezwierzonych ludzi wypranych z wszelkich skrupułów moralnych. Dzięki tym powieściom stał się Dreiser pionierem nowego realizmu i krytyki społecznej w literaturze amerykańskiej, torując drogę swym następcom, postępowym pisarcom nadchodzącej epoki.

W „Tragedii amerykańskiej” Dreiser zamknął jako całość to, co częściami, fragmentarycznie, stanowiło temat jego dotychczasowych utworów. Jest ona dziełem jego dojrzałości jako pisarza i człowieka. W imponującym rozmiarom obrazie zebrał Dreiser wszystkie aspekty współczesnej mu Ameryki, główny akcent kładąc na dziejach młodzieży. Do pracy nad powieścią przystąpił po gruntownym przygotowaniu się, przestudiowawszy także stronę prawniczą zagadnienia i przeprowadzwszy studia lokalne w ponurym więzieniu stanu nowojorskiego, Sing-Sing.

„Tragedia Amerykańska”, to pierwsze dzieło Dreisera, które cieszyło się dużym powodzeniem. Wielki sukces tłumaczy można sensacyjnością tematu. Dzieje miłośne Roberta i Clyda frapewały wielu czytelników amerykańskich. Tymczasem nie był to jeszcze jeden kryminalny romans zakończony sceną sądu i egzekucją na krześle elektrycznym. Było to bowiem potężne oskarżenie rzucone całemu społeczeństwu amerykańskiemu, całemu ustrojowi kapitalistycznemu. Wszak Clyde Griffiths nie jest przeciętnym ułudziwcem ani tym mniej typowym zbrodniarzem. Jest on

wytworem warunków społecznych kapitalizmu.

Syn ubogich rodziców zaślepionych sekciarsko-religijnym fanatyzmem, nie ma Clyde widoków na kształcenie się, nie ma nawet możliwości uzyskania jakichkolwiek zawodowych kwalifikacji, wrbiew u-tartej a do gruntu kłamliwej legendzie, jakoby w Ameryce przed każdym stały otworem wszelkie możliwości awansu społecznego. Pracując jako boy w eleganckim hotelu, widzi on dokoła siebie demoralizujący luksus, bezmyślne trwonienie pieniędzy i piaskie rozrywki bogatych wyzyskiwaczy, które dla jego bezkrytycznego umysłu stają się symbolem aspiracji życiowych. Ten sam cel użycia za wszelką cenę przyswieca zresztą całej pracującej młodzieży, otaczającej Clyda. Nikt nie wskazuje nieuczynalnym młodym umysłom szczytniejszych dążeń, więc wzorują się na klasie posiadającej, która potrafi im dać tylko przykład odradzający. Tu właśnie leży punkt ciężkości „Tragedii amerykańskiej”, która jest tragedią marnującą się młodzieży amerykańskiej.

Amerykańska krytyka literacka zrobiła wiele, by z Clyda uczynić jednostkę o wyjątkowo słabej woli, z góry już niejako predestynowaną do zbrodni i upadku. Jest to oczywiście wypaczenie intencji autora, który Clyda ukazał jako typowy produkt warunków społecznych. A warunki te przedstawia Dreiser po mistrzowsku, z całą surową bezwzględnością.

„Tragedia Amerykańska” jest wprawdzie głównie tragedią młodzieży amerykańskiej, ale nie samą młodzieżą Dreiser tu ukazuje. Trzeba zwrócić uwagę, że już i w tym dziele, pisarzem na dwa lata przed podróżą Dreisera do Związku Radzieckiego (1927), która tak wielki wpływ wywarła na jego dalszy rozwój ideologiczny, rozumie on w pełni, że młodzież nie może być inna, skoro od zarania spotyka ją tylko krzywdą, wyzysk i ucisk, skoro wszędzie widzi tylko obłądną pogon za dolarem, korpucję lub zakłamanie. Klasy panujące Ameryki są dotknięte rakiem kapitalistycznego rozkładu.

To, co uczynił Clyde i za co dostał się na krzesło elektryczne, to wynik jego biedy, jego ponizienia jako człowieka. Bogaty młody człowiek nie musiałby aż tak ciężko pokutować za podobną przewinę. Dreiser niezłomie wykazuje istnienie w Ameryce innej „sprawiedliwości dla biednych a innej dla bogatych”. Tutaj stajemy wobec jeszcze jednego ważnego fragmentu życia amerykańskiego: sądy i sędziowie, jak nam Dreiser demonstruje na podstawie obiektywnie przedstawionych faktów, nie są bezstronne. Intrzygi polityczne, pogon za wyższym stanowiskiem, wreszcie blask bogactwa, potrafią przemienić oblicze sprawiedliwości w mgnienu oka. Jest to jedna z głęboko tragicznych bolączek życia w ustroju wielko-kapitalistycznym.



Teodor Dreiser

Tę bolączkę poruszył Dreiser zresztą i w innych swych powieściach. Wzrost i upadek amerykańskiej młodzieży, poruszonych w „Tragedii Amerykańskiej”. Na podstawie skrupulatnych studiów i badań doszedł Dreiser do przekonania, że system, stosowany w więzieniach amerykańskich, jest równie nieludzki jak niepedagogiczny. Wstrząsające opisy cel skazańców w ponurym więzieniu stanowią jakby reportaż ze słynnego więzienia Sing-Sing.

Co więc daje ustrój kapitalistyczny ubogiemu młodemu człowiekowi, stającemu u progu życia? Zamiast szkoły dostępnej tylko dla zamortyzacji (o czym Dreiser dobrze wiedział z bolesnych doświadczeń swej własnej młodości), zamiast zamiłowania do pracy, pojętej jako służba społeczna, pogon za dolarem, bez którego człowiek jest niczym, zamiast zdrowej etyki socjalistycznych społeczeństw zakłamanie i pruderia, zwłaszcza klasy posiadającej, która piaskiem wstrętnej obłudy pokrywa swą zgniliznę moralną i wewnętrzny rozkład. Gdy dodamy do tego brak pewności jutra, ciągłe widmo bezrobocia i idącej w ślad za nim nędzy, to obraz Ameryki lat 1920—25-tych, jaki wyłania się z kart Dreiserowskiego monumentalnego dzieła, będzie zatrzwaszający. Obraz ten uległ zmianom i dziś, gdy w bieżącym roku „Tragedia Amerykańska” święci będzie czterdzieste swoje istnienie. Zmiany bowiem może przynieść tylko radykalna zmiana ustroju. Fakt, że już przed 25 laty Dreiser wskazał na to tak wyraźnie i dobitnie jest jego wielką zasługą.

W r. 1945, na krótko przed śmiercią, Dreiser zadeklarował wstąpienie do amerykańskiej partii komunistycznej. Pisał: „Nicią przewodnią mego życia i twórczości była wiara w wielkość i godność człowieka. Logika mego życia i mojej twórczości doprowadziła mnie w konsekwencji do przystąpienia do partii komunistycznej”.

Krystyna Michalik-Nedelkovic

RYCIE AMERYKI

Na głównych ulicach i tam gdzie mieszkają posiadacze albo kandydaci na nich, jest czysto.

Tam, gdzie rozwoją większość robotników i urzędników, w ubogich dzielnicach żydowskich, murzyńskich, włoskich na drugiej, na trzeciej Avenue, między 1-szą i 30-tą ulicą, panuje brud niemiejszy niż w Mińsku. Stoją kosze z wszelkimi możliwymi odpadkami, z których żebracy wybierają nieobjedzone kości i ogryzki. Stęgną cuchnące kaluże po dzisiejszym i wczorajszym deszczu.

W papierach i śmieciach brodzi się po kostki — nie metaforycznie, ale dosłownie, naprawdę.

I to b piętnaście minut drogi piechotą a pięć minut jazdy od wspaniałej 5-ej Avenue i Broadwayu.

Blżej portu jest jeszcze bardziej ciemno, brudno i niebezpiecznie.

W dzień jest to najcięższa okolica. Zawsze panuje tutaj jakiś zgiełk — praca albo straża i krzyki. Ziemia drży od dźwięków, które wydobywają z dna okrętu niemal cały dom za kominem.

Chodzą pikiety strajkujących nie dopuszczając łamistrąjków.

Dzisiaj 10-go września nowyorski związek robotników portowych ogłosił strajk solidaryzując się ze strajkującymi marynarzami Anglii, Australii i Południowej Afryki i pierwszego dnia trzeba było wstrzymać trzydziści wielkich parostatków.

Na trzeci dzień bez względu na strajk przyjechał parostatkami Majestic, wprowadzonym przez łamistrąjków, bogaty adwokat, leader socjalistycznej partii (tutejszych mienszewików). Tysiące komunistów wygwiżdżało go z brzegu i obrzuciło zgnyłymi jajami.

Jeszcze po paru dniach strzelano do przybyłego na kongres generała-pogromcy Irlandii — i musiano go wyprowadzić pokryjomo.

Avenue przylegająca do przystani nazywa się tutaj „avenue śmierci” z powodu pociągów wjeżdżających z towarami prosto na ulicę i z powodu rabusiów, którymi nabite są knajpy. Stąd rekrutują się bandyci całego New Yorku zdolni wyrzucić dla pieniędzy całe rodziny, zapędzić kasjerów w kątki kasy i odbierać dzienny zarobek zmieniając dolary przechodzącej, niezgodnie podejrzewającej publiczności.

Jeśli złapią — krzesło elektryczne, albo więzienie Sing-Sing. Ale można się wykreślić. Bandyta idąc na grabież zachodzi do swojego adwokata i oświadcza:

— Sir, zadzwonić do mnie o tej i o tej godzinie, tam i tam. Jeżeli mnie nie będzie, to znaczy, że trzeba wnieść za mnie zastaw i wyciągnąć mnie z ciupy.

Sumy zastawne są wielkie, ale i bandyci niemali i niezłe zorganizowani.

Wyszło na jaw na przykład, że dom oceniony na dwa tysiące dolarów służy już jako zastaw na dwa miliony wpłacone za różnych bandytów.

W gazetach pisano o pewnym bandycie, który wyszedł z więzienia na zastaw 42 razy. Tutaj, na Avenue Śmierci, operują Irlandczycy. W innych dzielnicach — inni.

Murzyni, Chińczycy, Niemcy, Żydzi, Rosjanie mieszczą we własnych dzielnicach zachowując swoje obyczaje i język, nie ulegając żadnym przemieszaniom przez całe dziesięciolecie.

W New Yorku nie licząc miejscowości podmiejskich mieszka w przybliżeniu:

Żydów	1 700 000
Włochów	1 000 000
Niemców	500 000
Irlandczyków	300 000
Rosjan	300 000
Murzynów	250 000
Polaków	150 000

Hiszpanów, Chińczyków, Finnów — 300 000.

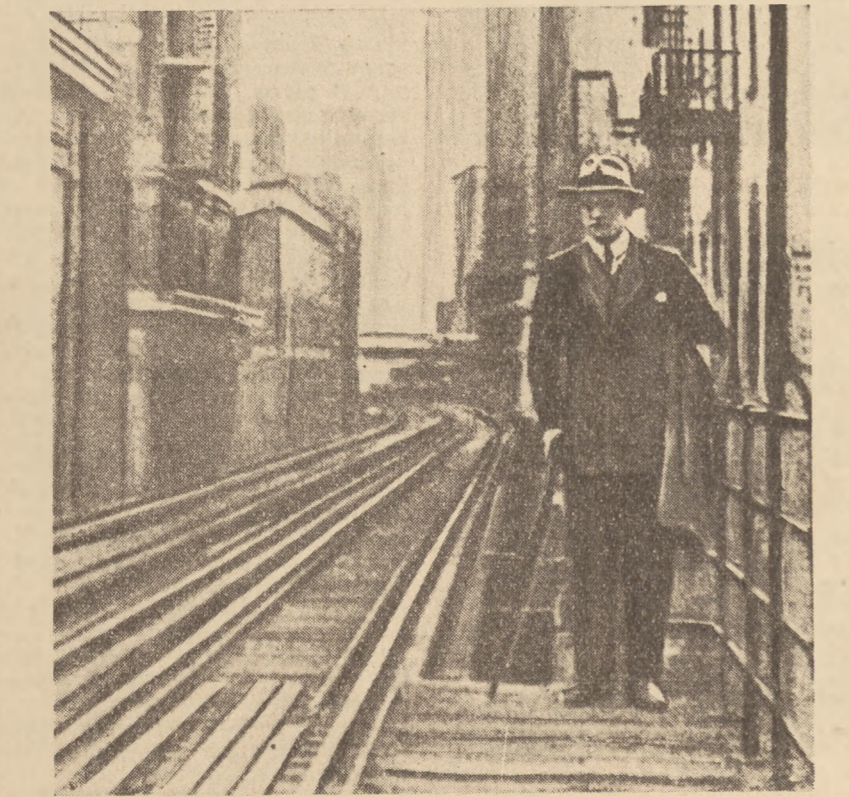
Zagadką: co to za jedni, prawdę mówiąc, ci Amerykanie i ilu jest tych stuprocentowych Amerykanów?

Z początku czyniłem dzięki usłownianiu, aby w miesiąc nauczyć się po angielsku. Gdy moje wysiłki zostały uwienczone powodzeniem to wszyscy w pobliżu mnie: sklepikarz i mleczarz, praczka i nawet policjant zaczęli ze mną mówić po rosyjsku.

Wracając nocą kolejką nadziemną widać te narody i dzielnice jak wyrysowane: na 125-ej ulicy wstają Murzyni, na 90 — Rosjanie, na 50 — Niemcy i tak dalej. Prawie dokładnie. O 12-ej wychodzący z teatrów piją ostatnią wodę sodową, jedzą ostatnie lody i wloką się do domu, o 1-ej albo o 3-ej, jeśli dwie godziny spędzą na ocieraniu się w foxtrocie albo ostatnim krzyku — charlestonie. Ale życie nie przerywa się — otwarte są wszystkie rodzaje sklepów, kursują kolejki podziemne i powietrzne, tak samo można wejść do kina otwartego całą noc i wypsać się ile wlezie za swoje 20 centów.

Przyszedłszy do domu, jeżeli jest wiosna lub lato, zamykają okna przed komarami i moskitami, wymyły uszy i nozdrza i odkaslnij węglowy pył. Zwłaszcza teraz, kiedy czteromiesięczny strajk 158 000 górników węgla kamiennego pozbawił miasto antracytu i kminy fabryk dymią zabronionym normalnie do użytku — miałem.

Jeżeli zadrapałeś się, smaruj ranke jodyną, w powietrzu nowyorskim pełno wszelkiego świństwa, od którego robią się jęczmień, puchną i ropieją wszelkie zadrapania i którym mimo to oddychają miliony niczego nie posiadających i nie mogących nigdzie wyjechać...



Majakowski w Ameryce

...Ameryka tyje. Ludzi z dwoma milionami dolarów uważa się za niezamożnych, początkujących młodzieńców.

Pieniądże pożyczają się wszystkim — nawet papieżowi, na kupno pałacu, aby ciekawo z naprzeciwka nie zaglądali mu w papieskie okna. Pieniądże biorą się zewsząd. Nawet z chudej kieski amerykańskich robotników.

Banki prowadzą wścieklą agitację o wkłady robotnicze.

Wkłady te wytwarzają stopniowo przekonanie, że trzeba się troszczyć o procenty, a nie o pracę.

Ameryka stanie się krajem finansjery i lichwiarstwa.

Dawni robotnicy mający nieopłacone jeszcze samochód na raty i mikroscopijny domek obłany potem do tego stopnia, że nie dzwili to, iż wyrósł aż do drugiego piętra, tym byłym robotnikom może się zdawać, że ich zadaniem jest pilnować tego, żeby nie przepadły ich papieskie pieniądze.

Może się zdarzyć, że Stany Zjednoczone razem staną się ostatnimi zbrojnymi obrońcami beznadziejnej sprawy burżuazji. Wówczas historia potrafi napisać dobrą w typie Wells'a powieść „Walka dwóch światów”.

Celem moich szkiców jest w przecuciu dalekiej walki zmusić do studiowania słabych i mocnych stron Ameryki.

„Rochambeau” wpłynął do Hawru. Niepiśmienne domki, którym tylko palce wystarczą do liczenia pięt, port odległy o godzinę drogi, a gdyśmy już przyucumowali, na brzegu zaroilo się od oberwanych kalek, dzieci.

Ze statku Amerykanie rzucali niepotrzebne centy (tak zwane „na szczęście”) a malcy dusząc się wzajemnie, drąc do reszty naddarte koszułe zębami i palcami wpijali się w miedzianki.

Amerykanie zaśmiewali się tłusto z pokładu i trzaskali migawkami aparatów fotograficznych.

Ci żebracy wstają przede mną jako symbol przyszłej Europy, jeśli nie przestanie ona piaskić się przed amerykańskim i każdym innym pieniądzem.

Tłum. K. S.

STANISŁAW MEDELSKI

BANDA TUCKERA

GDYBY ktoś przeczytał kilka wybranych fragmentów z książki Wolferta pt. „Banda Tuckera”, mógłby dojść do przekonania, że jest to przykładowa powieść sensacyjno-kryminalna. Znajdujemy w niej bowiem dzieje bandy gangsterów nowojorskich z lat trzydziestych naszego wieku. Bohaterowie powieści to starzy znajomi czytelników powieści kryminalnych: bandyci, milionerzy, policjanci, artyści. Tytuł książki nasuwa zresztą także tego rodzaju sugestie.

A jednak nie jest to książka dla zbłązwianych amatorów kryminalnych sensacji. Dlaczego?

Przed wszystkim dostrzeżę się tu zupełnie odmienny, nowy sposób ujęcia przedstawianych bulwersujących wydarzeń. Autor wychodzi daleko poza szablonowość i banały schematyzm powieści sensacyjnych, ujmując swą książkę w odmienne kształty artystyczne i prezentując poszczególne postacie na szeroko zarysowanym tle stosunków społeczno-gospodarczych, które działalność ich uwarunkowały.

Poprzez dzieje szajki gangsterów Wolfert w „Bandzie Tuckera” ukazuje rozkład moralny, jaki niesie ze sobą imperializm; ukazuje proces koncentracji kapitału. Drobny biznesman, który chciał być „uczciwy” i zachować swoją niezależność „przez całe swoje życie, jak zając, schuty przez psy gończe, przetrwał się od handlu wełną do dostaw jaj i masła, od jaj i masła do spekulacji nieruchomościami, od nieruchomości do dzierżawienia garażu, wreszcie od garażu do loterii... Miał się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu nory, w której mógłby przycupnąć w spokoju i żyć zgodnie ze światem rozrastającego się wielkiego kapitału. Jednak całe to miotanie zbliżało go tylko do cpoiki Hitlera, kiedy to wielki biznes, drapieżny i triumfujący, spuścił ze smyczy całą stórę trzust i mcnopolii i dołbał się nawet do zających nor”.

*) Ira Wolfert. Banda Tuckera, przekład R. Czekalskiej — Heymanowej, Warszawa, 1949. „Czytelnik” (Biblioteka w prenumeracie).

Niedługo trwa walka małych samodzielników przedsiębiorstw z wielkim kapitałem. Ten ostatni jednym pociągnięciem zmiaza z powierzchni ziemi „drobne interesy” i bezceremonialnie przywłaszcza sobie ich kapitały. Wolfert jednak nie ogranicza się do tego problemu. Idzie on dalej i odsłania przed czytelnikiem całą ohydę, zgniliznę moralną, degenerację współczesnej burżuazji amerykańskiej.

Dzięki trafnemu spojrzeniu na stosunki amerykańskie, Wolfert rozprawia się ostatecznie z mitem chłopca-czyszcibuta czy sprzedawcy gazet, który „oszczędnością i pracą” zrobił swój pierwszy milion, a następnie przyszył same. Udowodnia, że nie ma uczciwej drogi do klasy kapitalistów. Każdy z businessmenów nagromadził swe kapitały, zrabując na krzywdzie społecznej, grabiąc i oszukując, a niejednokrotnie uciokając się do morderstwa. Business bowiem ma na swym koncie niejedno życie ludzkie. I bez względu na to, czy zabójstwo było dokonane własnymi, czy cudzymi rękami, czy było szybkie i bezpośrednie, czy też wykonane drogą pośrednią, stosunek zabójcy do ofiary pozostawał zawsze ten sam. Bez względu na to, czy mordercą była „figura”, uchwalająca przy stole konferencyjnym politykę, skazująca na powolną śmierć tysiące robotników, czy był to jedynie drobny pionek, wykonawca owej polityki — w obu wypadkach morderca nie uważał swych ofiar za żywych ludzi. Ludzie ci byli jedynie przeszkodą na jego drodze.

W powieści Wolferta dzieje się nie tak, jak w książkach kryminalnych, gdzie morderca jest krwiożerczym typem, mającym „wewnętrzny potrzebę” mordowania z premedytacją swych bliźnich. Tutaj okazuje się, że bezwzględna zwierzęca i amoralna walka na śmierć i życie — to żelazny prawo imperializmu.

Banda Tuckera, to grupa ludzi, którzy zerują na krzywdzie ludzkiej, nie cofając się przed terrorem i morderstwami, doszli do milionów i zawiadnęli monopolem. Wydawaloby się, że zatem znajdują się w

stałym konflikcie z policją i całym aparatem państwowym. Ilic podobnego. Jeżeli policja przesładowała ich, to tylko w tym okresie, kiedy robili swój pierwszy milion, to znaczy, kiedy byli jeszcze dość stabi i można było z nimi „zadzierać”. Ale gdy banda Tuckera owdładła monopolem, cały zgnył i skorumpowany aparat policyjny staje na jej usługach i z całą bezwzględnością likwiduje wszystkich, którzy zagrażają jej interesom. Mało tego Ci egz-gansterzy mają swoich ludzi w parlamencie i w rządzie, mogą „oddać swym interesom całą politykę ogólnokrajową. Jeżeli mimo to banda Tuckera została w końcu ujęta i osadzona, to nie dlatego, iż znalazł się jakiś gorliwy i uczciwy sługa sprawiedliwości. Takich w ustroju kapitalistycznym nie ma. Stało się tak po prostu dlatego iż kapitały monopolu zostały „agrozno”, banda więc straciła swe wpływy, przestała panować nad sytuacją, musiała zatem ulec likwidacji. Takie są nieublagane prawa rządzące współczesną Ameryką, prawa dzikiej dżungli. Śmiało demaskująca zgniliznę i rozkład kapitalistów amerykańskich powieść Wolferta została w terenie Stanów Zjednoczonych skonfiskowana.

Można mieć do autora pretensje, że ograniczył się tylko do tego. Ukazując zarazem rozkład wewnętrzny, ale i potęgę imperializmu, Wolfert pozostawia czytelnika w nastroju pesymizmu i beznadźności. Nie możemy się oczywiście dziwić, że Wolfert nie pokazał nam ani jednej postaci pozytywnej, przy takim układzie książki, gdzie bohaterami są tylko kapitaliści i ich pachółkowie.

Ale możemy zgłosić do autora słuszne pretensje o to, że nie wyszedł poza granice zainteresowania się klasami posiadającymi i nie przeciwstawił zgnilizni moralnej i zerwaniu społeczeństwa — etyki ludzi pracy, robotników, walczących o realizację ustroju sprawiedliwości społecznej dla dobra całej ludzkości — mimo iż miał po temu okazję, bo akcja powieści potraça kilkakrotnie o ruch robotniczy.

Stanisław Medelski

WITOLD ŁUKASZEWICZ

EDWARD DEMBOWSKI

27 lutego 1846 roku zginął na Podgórzu Edward Dembowski, nieustraszonego emisariusza-rewolucjonisty, najwybitniejszego działacza lewicowego skrzydła konspiracji krajowej. Padł w kwiecie wieku w służbie wielkiej idei — społecznego i politycznego wyzwolenia mas ludowych. Jeszcze za życia opromieniła go rewolucyjna aureola. Kim był Edward Dembowski?

Urodził się w kwietniu 1822 r. w środowisku obszarnczym. Ojciec Edwarda, kasztelan Leon Dembowski, i matka Julia z Kochanowskich należeli do bogatej szlachty folwarcznej, graniczącej społecznie z magnateria. Atmosfera rodzinna, tradycja senatorska tak po mieczu jak i po kądzieli, obrzydła fortuna — wszystko to razem wzięte nie sprzyjało kształtowaniu się osobowości rewolucyjnego kasztelana. Edward był nieprzeciętnym chłopcem: miał fenomenalną pamięć, dar wymowy i ognisty temperament. Szybko odbył domową edukację pod kierunkiem najlepszych, ówczesnych nauczycieli, okazując szczególne zamyślenie do filozofii i literatury pięknej.

W dwudziestym roku życia ożenił się z bogatą szlachcianką Anielą Chłędowską i przez nią oraz przez swego ciotecznego brata Henryka Kamińskiego, znanego w kręgach młodzieżowych filozofa i publicystę, nawiązał ścisłą współpracę ze środowiskiem rewolucyjnym warszawskim i oddał do jego dyspozycji własne zdolności i znaczne zasoby finansowe. Dembowski, syn obszarnczaka, odcinał się od klasy, z której wyszedł, i przechodził na pozycję plebejskiego nurtu w ruchu narodowo-wyzwoleńczym, kierowanym przez tajny Związek Narodu Polskiego działający pod patronatem emigracyjnego Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Lewica Związku, z którą wiązał się Dembowski, przechylała się do utopijno-komunistycznej koncepcji Gromad Ludu Polskiego („Grudziąź” i „Humań”) i miała swoją bazę społeczną w młodzieży uniwersyteckiej, postępowej inteligencji mieszczańskiej i szlacheckiej oraz wśród nielicznych uświadomionych elementów plebejskich. Była ona powiązana siatką kontaktów spiskowych z prowincjonalnymi ogniwami Związku Narodu Polskiego: przede wszystkim z ośrodkiem rewolucyjnym lubelskim, którym kierował młody adwokat-rewolucjonista Aleksander Karpiński, i z radomskim, gdzie główną rolę grał Leon Mazurkiewicz, patron trybunału sandomierskiego, rzecznik chłopskiej demokracji. Z lewicą konspiracyjną warszawskiej i radomskiej współdziałał ksiądz Piotr Ściegienny, przywódca tajnego Związku Chłopskiego (1840—1844) w Lubelskiem i Kieleckiem.

Dembowski zaczął szybko wybijając się na przywódcę lewicy w konspiracji warszawskiej. Był on rzecznikiem natchemistowego rewolucji, z którą wiązał nieodłącznie sprawę wewnętrznej przebudowy społecznej na korzyść upośledzonych klas narodu. W roku 1842 założył Dembowski własny nakładem pieniężnym „Przegląd Naukowy” i skupił wokół niego literackie grono entuzjastów i entuzjastek z Narcyza Żmichowską. W „Przeglądzie Naukowym” zamieścił Dembowski liczne artykuły z dziedziny filozofii, literatury, sztuki i nauk ścisłych. Był zwolennikiem filozofii Hegla, którą interpretował w duchu postępu, zwłaszcza w dziedzinie zagadnień społecznych. Ze stanowiska dialektycznej metody Hegla uzasadniał konieczność nadejścia komunizmu jako antytezy do ustroju burżuazyjnego. Jednocześnie krytykował Dembowski za stanowiska trzeźwego obserwatora utopijno-socjalistyczne doktryny francuskiej, których wpływ na emigrację polską i działaczy spiskowych w kraju był ogromny. Należy jednak przy tym zauważyć, że w problematyce poruszanej przez Dembowskiego na łamach „Przeglądu Naukowego” w latach 1842—3 zagadnienia filozoficzne i literackie dominowały nad społeczno-politycznymi. Stan ten szybko uległ zmianie.

Kierownictwo Związku Narodu Polskiego uniezależniało się coraz wyraźniej od dyrektyw Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego Polskiego i parło do powstania w trzech zaborach wyznaczając termin wybuchu na wiosnę 1844 r. Tymczasem jesienią 1843 roku policja carska wykryła kilka ogniw spiskowych w Królestwie i uwięziła część ich przywódców. W obawie przed aresztowaniem Dembowski i wielu spiskowców uciekli do Poznania. Władze pruskie patrzyły na zbiegów z Królestwa przez palce, pozwalając początkowo korzystać z prawa azylu. Przybywszy do Poznania Dembowski rozwinął ożywioną działalność publicystyczną i spiskowo-rewolucyjną, wiążąc się z tajnym Związkiem Plebejuszy księgarza Walentego Stefańskiego. Plebejusze — była to najbardziej bojowa organizacja tajna polska w zaborze pruskim. Sprawiedliwy rozkład dóbr i zysków, zapewnienie robotnikowi prawa do pracy, zniesienie na czas rewolucji własności obszarnczej i sugerowanie wspólnego władania ziemią wysuwał Stefański na czele swych postulatów społecznych. Ziemiaństwo i młoda narastająca pod wpływem działalności Marcinkowskiego burżuazja poznańska oskarżały Związek Plebejuszy o tendencje komunistyczne. Nie było to oskarżenie bezpodstawne. Stefański bowiem przejął się utopijno-komunistycznymi hasłami Gromad

Ludu Polskiego, którego odezwy i pisma przemyczał jako księgarz do kraju.

Związek Plebejuszy opierał swą działalność na elementach plebejskich i młodzieży skorej do rewolucyjnego czynu. Związek Plebejuszy odegrał w ruchu narodowo-wyzwoleńczym Wielkiego Księstwa Poznańskiego wybitną rolę, ważniejszą bodajże niż konspiracja szlachecko-burżuazyjna, kierowana z emigracji przez Towarzystwo Demokratyczne Polskie i jego poznańską ekspozyturę Centralny Komitet, w którym największy wpływ wywierali Libelt, Guttry i Jędrzej Moraczewski. Byli oni przedstawicielami liberalnych, szlachecko-burżuazyjnych grup w ruchu, skorych do kompromisu z wielkopolskimi obszarncami. Dembowski i Stefański dawali zastrzyk rewolucjonizmu Centralnemu Komitetowi Poznańskiemu i domagali się natchemistowego rozpoczęcia walki zbrojnej w trzech zaborach.

W parze z działalnością spiskowo-rewolucyjną Dembowskiego szła wna propaganda społeczna na rzecz chłopów i robotników. Dembowski zamieszczał bojowe artykuły na tematy społeczne w organach ruchu: „Dzienniku Domowym”, „Tygodniku Literackim”, „Roku” oraz bezimiennie w warszawskim „Przeglądzie Naukowym”, wypowiadał się za zniesieniem własności prywatnej, za społecznym wyzwoleniem chłopów i robotników od feudalnego i kapitalistycznego wyzysku.

Świadomość rewolucyjną Dembowskiego dojrzała coraz bardziej, głównie pod wpływem lektury pierwszych prac Marksa i Engelsa, ogłaszanych na łamach „Roczników Niemiecko-Francuskich” i „Vorwärts” (1844) a krytykujących utopistów francuskich i omawiających szeroko problematykę robotniczą w związku z powstaniem tkaczy śląskich i ciężką dolą angielskiego proletariatu fabrycznego.

Jesienią 1844 r. został Dembowski wydany z Poznania przez władze pruskie za uprawianie propa-

gandy komunistycznej. Udał się wówczas do Galicji w charakterze emisariusza Centralnego Komitetu Poznańskiego z zadaniem przygotowania powstania przeciw Austrii. Na nowym terenie dał sobie doskonale radę z trudnościami, zorganizował sprawnie komitet powstańczy dla Galicji Zachodniej i Rzeszypolitej Fr. i Mich. Wiesiołowskimi, właścicielami Wojsławia) i został jego faktycznym kierownikiem. Podobnie

jak Karpiński i Leon Mazurkiewicz w Królestwie, jak Stefański w zaborze pruskim, był Dembowski w Galicji rzecznikiem natchemistowego powstania, wylamywał się spod instrykcji swoich mocodawców i działał na własną rękę w interesie mas ludowych. Przez intensywną propagandę rewolucyjną zjednywał dla ruchu postępową szlachtę i inteligencję, rzemieślników, robotników i chłopów. Agitował głównie w Bocheńskim, Jasielskim, Wadowic-

kiem, Rzeszowskim, robił wypadki do Lwowa i Zaleszczyk, zbierając dane dotyczące rozmieszczenia wojska, magazynów wojennych itp. oraz badał i urabiał nastroje ludności, demaskując prawdziwe cele propagandy administracji austriackiej w stosunku do chłopów. Przeciwnikom rewolucji spośród szlachty folwarcznej groził Dembowski szubienicą.

W listopadzie 1845 r. udał się Dembowski do Poznania, gdzie wraz ze Stefańskim i Władysławem Dzwonkowskim, emisariuszem z Królestwa, przeprowadził zmianę składu Centralnego Komitetu Poznańskiego i skłonił go do wyznaczenia terminu rewolucji na luty 1846 r. Jednym z motywów tego postanowienia była chęć zaskoczenia rządu austriackiego, który dla sparaliżowania przygotowań rewolucyjnych w Galicji planował rzeź szlachty przez chłopów-rabacjów.

Wróciwszy do Galicji Dembowski oddał się całkowicie agitacji rewolucyjnej, tak zuchwałej i o tak fantastycznych środkach, że stał się postacią legendarną. Występował często w przebraniu, jako lokaj dostawał się do domów wysokich urzędników austriackich, podsłuchiwał ich rozmowy o planach zdławienia ruchu rewolucyjnego. Władze wyznaczyły cenę na jego głowę, policja ścigała go listami gończymi.

Gdy wybuchła rewolucja w Rzeszypolitej Krakowskiej, Dembowski opowiedział się za oddaniem sobie spiskowcami 24 lutego 1846 r. Wielickę, zorganizował władze rewolucyjne, nakazał pobór do wojska i na czele sformowanego przez siebie oddziału górników udał się do Krakowa. Tu stanął przy boku dyktatora Tyssowskiego jako jego sekretarz, w istocie zaś jako tajny kierownik całej akcji rewolucyjnej. W nocy z 24 na 25 lutego uderzył zamach burżuazyjno-szlacheckiego skrzydła ruchu na dyktaturę Tyssowskiego, stworzył trybunał rewolucyjny dla karania zamachowców i dywersantów oraz zorganizował Klub Rewo-

lucyjny, powołując doń zdecydowanych zwolenników programu szerokiej przebudowy społecznej. Klub został zamknięty z rozkazu Tyssowskiego już po pierwszym posiedzeniu — a to z powodu obaw, jakie wzbudził w umiarkowanych szlachecko-burżuazyjnych kręgach powstańców. Jako sekretarz Tyssowskiego rowe kary na tych dziedzicach, którzy wbrew postanowieniom Manifestu Rządu Narodowego z dnia 22 lutego 1846 r. żądali od chłopów oddawania pańszczyzny i innych świadczeń feudalnych; nie podpisał natomiast odezwy przewidzianej represje w stosunku do chłopów za udział w najściach na dwory, mordy i rabunek szlachty. Chcąc zaś odwieść chłopów od napałów na dwory i jednać ich dla władz powstańczych postanowił Dembowski oddziaływać na wzburzoną wieś przy pomocy patriotycznej części kleru. Nieraz też sam w przebraniu chłopskim wymykał się w okolice Krakowa i agitował wśród chłopów przeciw Austrii.

27 lutego 1846 r. zorganizował Dembowski procesję, aby przy jej pomocy łatwiej pozyskać zaufanie chłopów. W procesji wzięło udział około 500 osób, w tym 30 księży i oddział strzelców. Na czele procesji kroczył Dembowski w białej chłopskiej sierdziejce z krzyżem w ręku. Procesja udała się na Podgórze, tu została zniechęta zaatakowana przez oddział piechoty austriackiej należący do korpusu gen. Collina. W trakcie starcia Dembowski ujęto i rozbrojono po bohaterzku oporze. Wywrał się on jednakże z rąk eskorty i rzucił się do ucieczki. Został wszakże trafiony kulą karabinową i przesyty przez żołdaka po trzykroć bańnetem. Śmierć Dembowskiego przeszła nieopisane. Władze policyjne austriackie poszukiwały go w dalszym ciągu. Dopiero po pewnym czasie uwierzyły w zgon bohatera rewolucyjnego. Nastąpiło to już po załamaniu się rewolucji.

Była to rewolucja burżuazyjno-demokratyczna. Dembowski i Stefański, Leon Mazurkiewicz i Ściegienny (do jesieni 1844 r.) reprezentowali w tej rewolucji nurt plebejski — byli rzecznikami „agrarniej demokracji” czyli chłopskiej rewolucyjnej drogi w walce przeciw patriarchalno-feudalnemu absolutyzmowi.

Revolucja 1846 r. załamała się, bo kierująca nią szlachecko-burżuazyjna demokracja nie miała za sobą najważniejszego sojusznika, nie posiadała silnego plebejskiego zaplecza. Sama zaś była za słaba, by przeprowadzić zwycięsko rewolucję i do tego w trzech zaborach jednocześnie. Zaplecze plebejskie tej burżuazyjno-demokratycznej rewolucji było rozbite: w Królestwie Polskim od jesieni 1844 r., tj. od likwidacji przez carską policję Związku Chłopskiego Ściegiennego; w zaborze pruskim w lutym, listopadzie i grudniu 1845 r. przez aresztowania wśród członków Związku Plebejuszy i uwięzienie jego przywódcy Stefańskiego; wreszcie na najważniejszym odcinku — w Galicji przez kreację politykę miejscowych szlachecko-burżuazyjnych przywódców powstania, której następstwem było zatamowanie drogi do masy chłopskiej plebejskiej nurtu: Dembowskiego i jego zwolenników... oraz śmiercionośna dla rewolucji rabacja. W tych warunkach ruch rewolucyjny 1846 r. musiał się załamać.

Nie należy wszakże przy tym wszystkim, co powiedziano wyżej, przeceniać roli rewolucyjnej plebejskiego nurtu w polskim ruchu narodowo-wyzwoleńczym lat czterdziestych XIX w., którego pierwszy etap zamyka rewolucja 1846 roku. Nurt ten pomimo znacznego zasięgu klasowego i terytorialnego nie był jeszcze dostatecznie silny i dynamiczny, bo brak w nim było właściwego rewolucyjnego trzonu — proletariatu fabrycznego. Braku tego nie był w stanie wypełnić mimo całej swej ofiarności i bojowości ani proletaryzowany rzemieślnik ani chłop pańszczyźniany. Brak proletariatu fabrycznego w plebejskim nurcie ruchu narodowo-wyzwoleńczego na ziemiach polskich w pierwszej połowie XIX stulecia był następstwem zapóźnienia w stosunku do Zachodu rozwoju przemysłowego kraju.

Witold Łukasiewicz

KSIĄZKI NADESLANE

Wydawnictwo „Czytelnik”
 Żeromskiego St. — Opowiadania — utwory powieściowe, str. 322.
 — Duma o hetmanie, str. 225.
 — Wiatr od morza, str. 375.
 Anna Kowalska — Opowiadania greckie, str. 141.
 Józef Kiellgren — Ludzie przy moście, str. 258.
 Wyd. „Czytelnik” — Księża mówią, str. 164.
 Wacław Rzeżacz — Zielona książka, str. 139.
 Witold Wirpsza — Stocznia, str. 48.
 Jurij Tynanow — Podporucznik Kize, str. 8.
 Wydawnictwo „Chłopski Świat”
 Wieś walcząca o sprawiedliwość i dobrobyt, str. 261.
 Czesław Wyczech — Z dziejów chłopskich, walk, str. 293.
 Prizwin M. — Skarbem słońca, str. 94.
 Czesław Wyczech — Materiały do dziejów ruchu ludowego, str. 100.
 Wójcicka Janina — O Kowalczyku, który serca przekwał, str. 64.



EDWARD DEMBOWSKI (1822 — 1846)

„Henryk „zapaleniak” stąd otrzymał swoje przezwisko, że żył tak przedko, chciwie i gwałtownie, jak gdyby najmłodszemu z nas wszystkim, najwcześniejszemu miały wybić godzina. Alchemik, co by wziął trzech ludzi z burzliwymi i sprzecznymi skłonnościami, czterech innych z cnotą najeźniością, pomieszał razem, utlił w moździerzu, nalał wo-

dą wiślaną, zagotował przy wulkanie, odcodził przy księżycu, trochę podsylił siarką i saletrą, miałyby dopiero dla osłobitności lub dla przeciśnienia spokojnych amatorów wista i ojców rodziny esencję, podobniuteńką do takiego, jak Henryk człowieka... Przy nadzwyczaj walekiej postaci, przy dość miękkiem wychowaniu, żelazna jego organizacja nie upadła pod żadnym nadużyciem zbytków i trudu, egoizmu i poświęcenia. Ach, żal mi teraz, że napisałem to słowo: egoizm. On i egoizm? On, co tak szafował zdrowiem, majątkiem, szczęściem, co dla przyjaźni lub szlachetnego celu byłby swe dobre imię oddał bez wahania i nazwać go egoistą!... Henryka osobistość tylko była tak wydatną w tym, co czynił, tak zainteresowaną w tym, czego pragnął, tak połączoną z tym, czemu się poświęcał, że byłby się dał zabić dla tego, a jeszcze wielu bardzo ludzi i mnie samej zdawało się mogło, że dał się zabić, bo mu to wielką przyjemność robiło... Strach czasem było tego dziecka z błękitnymi oczami, że ślepym niedoświadczonem, a żądzą płomienną. Przeważało się, że dusza jego... musi być spokojniejsza i zbroczeni jakieś fatalne, planetarne zakreślić kolo...” (Z powieści Narcyza Żmichowskiej pt. „Poganka”, napisanej w r. 1845; Edward Dembowski występuje tu pod imieniem Henryka).

STEFAN WILANOWSKI

WALKA VIETNAMU

14 stycznia 1950 r. prezydent Ho Chi Minh oświadczył a radio „Głos Vietnamu” nadało na cały świat, że rząd Demokratycznej Republiki Vietnamu gotów jest ustanowić stosunki dyplomatyczne ze wszystkimi państwami, które zechcą współpracować z Vietnamem na bazie równości, wzajemnego szacunku, terytorialnej nienaruszalności i narodowej niezawisłości, a to dla zachowania pokoju na świecie i współpracy w rozwoju demokracji na świecie.

W odpowiedzi na tę deklarację, Republika Vietnamską uznała Chińska Republika Ludowa, Związek Sowiecki i kraje Demokracji Ludowej, a wśród nich przed kilku dniami i Polska.

Rząd Stanów Zjednoczonych i jego lokaje uznają „cesarza Vietnamu” Bao Daj, a na marginesie tego uznania w artykule pod tytułem: „Indochiny następnie” publicysta nowojorski Del Vayo stwierdza, że nawet wrogowie komunizmu uważają Bao Daj za zdrajcę ojczyzny („Nation”, New York, 19 stycznia 1950 r.).

Wschodnie Indochiny mierzą 737.000 km. kwadr. Zamieszkuje na tym terenie 21 i pół miliona ludzi. Kraj, który dziś nazywamy Vietnamem, co oznacza „kraj południowy”, zamieszkuje 18 milionów ludzi, zaś pozostałą część wschodnich Indochin stanowią „królestwa”: Laos, które liczy 944.000 mieszkańców, i na którego czele stoi marionetka imperialistyczna „król” Sisavang Vong, i Kambodża, licząca 2.800.000 mieszkańców, z „królem” Sihanouk.

W czasie wojny imperialistom japońskim nie przeszkadzało, że Vietnamem (wtedy nazywany Annamem) rządili daleki Francuzi. Byli oni całkowicie powolni Japończykom; gospodarczo Vietnam współdziałał z Japonią; zresztą „cesarzem annamskim” była przecież marionetka japońska Bao Daj, obecnie lokaj francusko-amerykański.

10 marca 1945 r. Japończycy proklamowali „niepodległość” Vietnamu, co oznaczało, że zastąpili oni Francuzów, którzy w ciągu jednej nocy stracili pozycję suwerenów. Pozostawili oni „cesarza” Bao Dai, a na czele rządu vietnamskiego stanął Pham Quynh, a po nim Tran Trong Kim.

16 sierpnia 1945 roku nazajutrz po Hiroshimie, japońska agencja prasowa Domei ogłosiła przerwanie działań wojennych.

Tegoż dnia Viet Minh, liga niepodległości Vietnamu, na której czele stał obecny prezydent Ho Chi Minh, zorganizowała wielką manifestację w stolicy Tonkinu, Hanoi. 18 sierpnia rewolucyjne oddziały szturmowe zajęły gmachy publiczne. Władza znalazła się w rękach Viet Minhu. 25 sierpnia „cesarz” Bao Daj abdykował.

29 sierpnia 1945 roku ogłoszona została oficjalnie nowa konstitu-

cja Demokratycznej Republiki Vietnamu. 2 września odbyły się wielkie manifestacje; lud vietnamski radośnie witął swe wyzwolenie.

Tymczasem faszysta De Gaulle 16 sierpnia 1945 roku mianował admirała Thierry d'Argenlieu wysokim komisarzem Francji w Indochinach i polecił mu „przywrócić suwerenność francuską w Indochinach”. Admirał wyładował w Indochinach 2 listopada. Ale już 5 października przepieciał na amerykańskim aeroplanie do Sajgonu generał Leclerc, a za nim przybyła dywizja zmotoryzowana. W Sajgonie znajdowała się już wcześniej kompania 5 pułku piechoty kolonialnej i batalion Gurków, których przysłał Francuzom Anglii. W międzyczasie zrzucono został ze spadochronu (13 września) francuski pułkownik Cédille. Z 1200 jeńców francuskich, uwolnionych z niewoli japońskiej, zorganizował on oddziały wojskowe. Uzbrojenia dostarczyli Anglii i Amerykanie. Wszyscy imperialiści, jak widać, działali ręką w rękę, byleby tylko nie dopuścić do wyzwolenia wyzyskiwanych ludów kolorowych.

Francuzi i Anglii zaatakowali wojska ludowe. Wytworzył się taki stan rzeczy, że część Sajgonu była w rękach imperialistów, a część w rękach Viet Minhu.



Demonstracja robotników francuskich przeciwko wojnie w Vietnamie.



Stefan Wilanowski

PO KURSIE W JADWISINIE

W styczniu br. Ministerstwo Kultury i Sztuki zorganizowało przy współudziale ZG. ZAMP kurs dla młodzieży szkół artystycznych i studentów historii sztuki w Jadwisinie pod Warszawą. Dwutygodniowy, ogólnopolski kurs estetyki marksistowsko-leninowskiej jest jednym z środków realizacji głównego zadania, wysuniętego na Festiwalu Wyzwolenia Szkół Artystycznych w Poznaniu — wykształcenia artysty świadomego roli sztuki w nowej rzeczywistości, podejmującego z całym zrozumieniem uczestnictwo w budowie socjalistycznej przyszłości oraz rozporządzającego sprawnymi i wydoskonalonymi środkami artystycznymi. Młodzi ar-

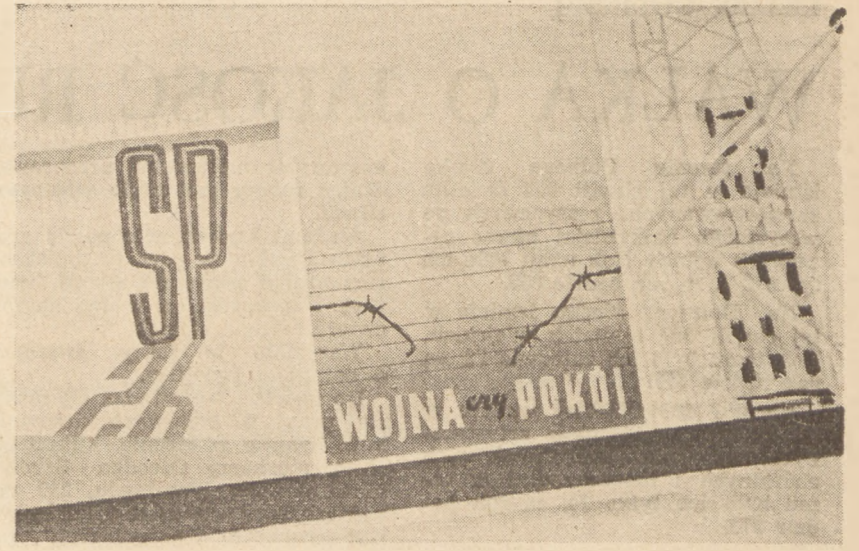
tyści, którzy z entuzjazmem przyleżeli w Poznaniu postulat odrodzenia sztuki polskiej w realizmie socjalistycznym zdobywali na wykładach w Jadwisinie zasady estetyki marksistowsko-leninowskiej, kształtowali swój stosunek do dziedzictwa sztuki polskiej i światowej, uczyli się marksistowsko-leninowskiej metody badań kultury. Liczne i długie dyskusje miały rozwiązywać wątpliwości i ugruntować podawaną przez wykładowców wiedzę.

Zamieszczamy fragmenty z końcowych kolokwialnych odpowiedzi pisemnych na trzy wyszczególnione niżej tematy. Cytaty te stano-

wią przykłady sposobu patrzenia młodych artystów i historyków sztuki na dzieło sztuki i jego ocenę, pokazują, jak adept sztuki pojmują realizację postulatów realizmu socjalistycznego w poszczególnych dziedzinach twórczości artystycznej, co projektują. Dla niektórych kurs w Jadwisinie był pierwszym zastrzykiem filozofii i estetyki marksizmu-leninizmu, dla innych znacznym poszerzeniem dotychczasowego zasobu wiedzy z tego zakresu, dalszym umocnieniem ideologicznych i naukowych podstaw w pracy artystycznej, dla wszystkich ogromnym bodźcem do samodzielnego kształcenia się i do kolektywnej pracy, oraz do rozpow-

szechniania na uczelniach zasad marksizmu-leninizmu w sztuce. Wypowiedzi kursistów z Jadwisina nie zawsze są w pełni dojrzałe, nie wszystkie problemy podjęte przez nich rzetelnie przemyślane, ale wszędzie przejawia się ostre metody marksistowskiej, prawie każde wypracowanie zdradza wiążący kierunek poszukiwań. Śledząc głęboki przełom, który się dokonał wśród młodzieży szkół artystycznych, patrząc na ich entuzjazm w podjęciu zadania budowy socjalistyczno-realistycznej sztuki polskiej, możemy z optymizmem oczekiwać wyników ich pracy.

REDAKCJA



Fragment wystawy grafiki użytkowej na Festiwalu Poznańskim.

Temat: Próby analizy krytycznej i wartościowania konkretnego dzieła sztuki z punktu widzenia estetyki marksistowsko-leninowskiej.

„Twórczość Goyi stanowi przykład sztuki pojmowanej marksistowsko, jako subiektywne odbicie obiektywnej rzeczywistości. Goya dojrzał rzeczywistość swojej epoki oczami realisty, stworzył jasny i zrozumiały jej obraz, odpowiednio go jednak interpretując. Gdy np. przedstawia torreadorów mordujących byki, lub mordowanych przez byki na oczach gapiów, to nie ogranicza się tylko do naturalistycznego odmalowania makabry, ale sposób przedstawienia zawiera równocześnie ocenę — potępienie. Artysta pokazując rzeczywistość ocenia ją zarazem. W takim stosunku do rzeczywistości wyraża się humanizm artysty.”

„Obu twórców (Dumier'a i Goya) cechuje mistrzowski władanie ostrą satyrą. Wydaje mi się rzeczą słuszną zwrócić uwagę młodych malarzy polskich na Goya — satyrka. Dopóki trwa walka klasowa, dopóki musimy tępić wrogów klasowych i zwalczać moralność mieszczańską, dopóki zabobon wleczę za sobą ogony „wiernych”... dopóty jedna z metod wychowawczych partyjnej polskiej sztuki powinna być ostrą, bezwzględna satyra. Tępić obskurantyzm, apolityczność,

spekulancтво, obudę moralną! Patrzeć i uderzać na wroga, jak czynił to kiedyś Goya — realista”.

Damasiewicz Witold
ASP, Kraków, V r.

„Popularność utworów Wieniawskiego stale wzrasta. Nasuwa się pytanie, dlaczego kompozycje te potrafią przeniknąć we wszystkie warstwy społeczne i są z równym zainteresowaniem słuchane przez robotnika, chłopca i inteligenta pracującego?”
„W większości utworów Wieniawskiego są opatrzone tytułem, który pozwala słuchaczowi odtworzyć wrażenia, jakie kompozytor w procesie twórczym przeżywał. Dzięki temu utwory są bardziej komunikatywne.”

Kucharski Janusz
konserwatorium warszaw. rok I.
wyzd. instrument-skrzypc.

Temat: Realizm socjalistyczny jako podstawowe metody twórcze sztuki polskiej na obecnym etapie drogi do socjalizmu (podstawy ideologiczne i metodologiczne — podstawa do marksistowsko-leninowskiej nauki o sztuce — wywód historyczny — próba rozwinięcia na przykładach jednej z dyscyplin artystycznych (architektura, plastyka, teatr, film itp.).

„Jak się przedstawia walka o realizm socjalistyczny w architekturze?”

W tej chwili w architekturze silny wpływ mają dwa kierunki formalistyczne tj. konstruktywizm i funkcjonalizm. Z nimi to musimy walczyć!

Wielkie zadania stanęły przed architekturą i urbanistyką polską. Wielkie niespotykane dotąd zamówienie społeczne. Wyłoniły się nowe problemy do rozwiązania — stworzenie nowego typu domów i osiedli mieszkaniowych. Nowy typ gmachów — świetlic robotnicze i wiejskie, domy kultury, przedszkola, żłobki itp. Architekt ponosi dzisiaj większą niż kiedykolwiek odpowiedzialność.

Hasłem, w myśl którego musimy budować jest architektura socjalistyczna w treści, narodowa w formie. Architektura socjalistyczna winna wyjść przede wszystkim od człowieka. Budowane mieszkania winny zaspakajać codziennie potrzeby człowieka, powinny być jasne, ciepłe, wygodne i estetyczne. Postulat przystosowania do potrzeb i estetyki obowiązującej również budynki użyteczności publicznej — kina, teatry, szkoły, przedszkola itp.”

„Dzięki doświadczeniom radzieckim możemy częściowo uniknąć błędów w naszej pracy. Musimy tworzyć nową, wspaniałą architekturę. Wiemy, że to nie jest łatwe. Nie wolno nam jednak tracić optymizmu. Nasza architektura musi być wspaniała, godna miana socjalistycznej.”

Halina Wróblewska
Politechnika Warsz., Wyzd.
Archit. III r.

„Dzisiaj, gdy klasa robotnicza w naszym kraju odniosła zwycięstwo, trzeba zmobilizować masy do budownictwa socjalistycznego. Jednym z środków mobilizujących masy winna być nasza sztuka, oparta o nową metodę twórczą realizmu socjalistycznego, przeciwstawiającą się mętnym założeniom estetyki burżuazyjnej.

Nowa sztuka opierająca się na marksistowsko-leninowskiej estetyce będzie siłą mobilizującą proletariat do walki o powszechne zwycięstwo.”

„Wprowadzenie dyscypliny marksizmu-leninizmu na wyższych uczelniach posiada bardzo wielkie znaczenie. Przyczyni się do zrozumienia przez młodzież szkół artystycznych celów i zadań twórczych, jakie przed nimi stawia państwo i społeczeństwo. Nowa sztuka przyspieszać będzie nasz marsz do socjalizmu jeśli realizuje postulat realizmu socjalistycznego.”

Jerzy Kossak

„Artysta chcąc nadać swej sztuce poznać, a wychowawczą funkcję, musi dbać nie tylko o swoje wykształcenie fachowe, techniczne, ale również zdobywać ideologiczną dojrzałość.

Artysta socjalistyczny nie może przykładać nadmiernej wagi do samego tematu, zaniedbując przy tym formę. Nie wyzwanie się w formalistycznym eksperymentarstwie i nie naturalistyczne odbicie rzeczywistości!

Człowiek w pracy, człowiek w walce o postęp. Nie człowiek abstrakcyjny, oderwany od miejsca i czasu swego życia, ale człowiek ściśle określony.”

Pikula Franciszek
Wrocław. PWSSP I r.

„Zadaniem naszej plastyki powinno być artystyczne odzwierciedlenie procesu budowania socjalizmu w Polsce. Należy przy tym odwołać się do dorobku okresów minionych, wybierając twórców postępowych oczywiście w ówczesnym etapie historycznym. Cenne źródło doświadczeń historycznych dla młodego twórcy stanowi krytyczny realizm mieszczański połowy XIX w. — np. bracia Giermscy, Szermentowski, Michałowski, Rodakowski.”

Jakimowicz Irena
W-wa historia sztuki V r.

„Od dramatu wymagamy, aby poruszał ważne zagadnienia dzisiejszej rzeczywistości, aby odzwierciedlał ważne przemiany społeczne. Potrzebą nam dramatu, który by wyrażał dążenia klasy robotniczej, przedstawiał jej walkę, oddawał heroizm proletariatu.”

Rembacz Anna
W-wa Szkoła Aktorska, IV r.

„W myśl realizmu socjalistycznego twórca jest zobowiązany do stałej i sumiennej kontroli społecznej funkcji swych dzieł. Opierając się na niej winien odpowiednio korygować swą twórczość, winien dbać o odpowiednie oddziaływanie swej sztuki na odbiorców. Sztuka — wg. estetyki marksistowsko-leninowskiej — nie jest spontanicznym „wyzwoleniem najgłębszych, niekontrolowanych rozumowo instynktów ludzkich”, „natchnieniem”, „zespoleciem się z Bogiem”, jak twierdziły estetyki ide-

alistyczne, ale jest tworzona i kontrolowana przez artystę, pozostającego w stałym i ścisłym kontakcie z odbiorcą artysty, świadomego roli swych dzieł w całokształcie życia społecznego.

Otwarta na wszystkich odcinkach twórczości kulturalnej walka o unaukowanie i racjonalizację pracy objąć winna także plastyka — realiste. Nie powinien on pozostawiać swojej pracy przypadkowym fluktuacjom temperamentu, ale ją świadomie organizować, w pewnym sensie planować i dbać o wypełnienie postawionych przed sobą zadań artystycznych.”

Andrzej Wróblewski
ASP, Kraków, IV r.

Temat: Jak zamierzasz rozwinąć i we własnej pracy artystycznej i organizacyjnej wykorzystać wiadomości i doświadczenia zdobyte na kursie.

„Kurs umocnił we mnie przekonanie o konieczności podjęcia sumiennego studium natury, wypracowania dobrego rysunku. Aby się obronić przed zagubieniem w szczegółach konieczne jest nawiązanie ścisłego kontaktu z robotnikami, częste wśród nich przebywanie, wspólne dyskusje, obserwacja ich pracy, rysowanie robotnika przy jego warsztacie, wczuwanie się w atmosferę ich pracy, badanie ich reakcji na moją twórczość. Przyczyni się to w dużej mierze do zrozumienia zasad socrealizmu i pozwoli stworzyć dobre dzieło socjalistyczne. Studenci szkół plastycznych powinni nawiązywać stały kontakt z robotnikami!”

Andrzej Blaim
ASP Warszawa II r.

„My młodzi znajdujemy się w bardzo krytycznej sytuacji. Jesteśmy obciążeni tradycją sztuki burżuazyjnej, w pracowniach musimy stale korzystać z dorobku naszych poprzedników (profesorów), którzy tkwią często jeszcze w dekadentkich kierunkach mieszczańskiej sztuki. Walka z dziedzictwem sztuki burżuazyjnej nie jest łatwa.

Zrozumieliśmy, że musimy grubowato zmienić nasze dotychczasowe założenia artystyczne. Zaczęliśmy szukać wskazówek w poprzednich epokach malarstwa, kiedy człowiek nie był

różową lub zieloną plamką, lecz głównym i zasadniczym problemem. Zainteresowaliśmy się przede wszystkim sztuką Odrodzenia. Liczne dyskusje i referaty kształtowały nasz stosunek do dziedzictwa sztuki!”

Alks. nder Mazek
ASP Warszawa III r.

„Nie jestem ZAMP-owcem. Stałem dotąd na stanowisku wypowiedziania w dziele sztuki osobistych przeżyć psychicznych. Znalazłem się w rozpacz. Moje malowanie wydawało mi się nieprzydatne dla nikogo, zamknięte w kręgu własnych, intymnych dążeń, nieinteresujących nikogo.

Kurs w Jadwisinie wskazał mi wyjście z ślepego zaułka, w którym się znalazłem. Zrozumiałem dopiero rolę artysty w społeczeństwie, dojrzałem obowiązek i zadania społecznego na artystę — członku społeczeństwa. Kurs dał mi podstawy ideologiczne i wskazał metodę twórczą — metodę realizmu socjalistycznego. Będę się starał aby sztuka moja tkwiła mocno w życiu. Stanie się to wtedy, gdy wezmę w życie czynny udział.”

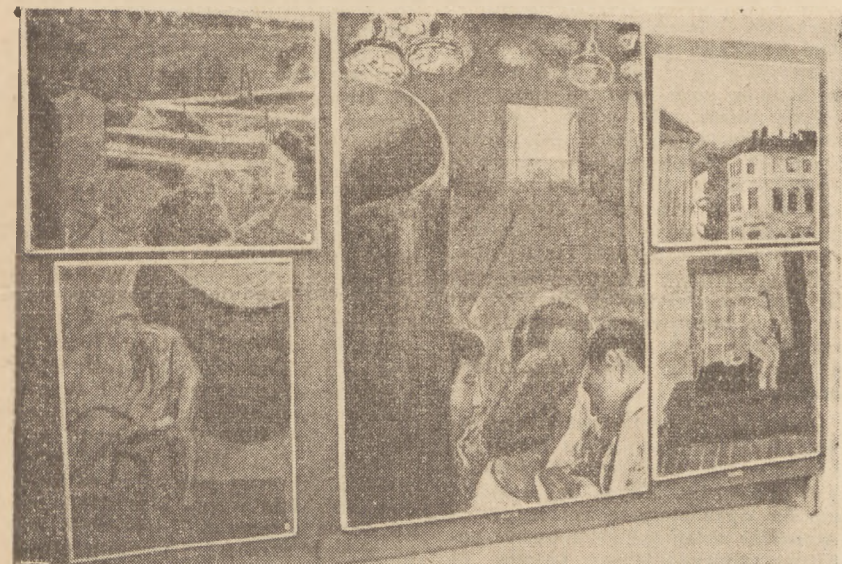
Siennicki Jacek
ASP W-wa III r.

„Kurs zorganizowany w Jadwisinie przyniósł mi ogromne korzyści. Mimo, że biore czynny udział w pracach Bratniej Pomocy i Kola Artystycznego nie zetknąłem się nigdy dotychczas z zagadnieniami materializmu historycznego, z estetyką marksistowską i zagadnieniami realizmu socjalistycznego.”

Na Festiwalu poznańskim zagadnienie socjalizmu traktowałem jeszcze z dużym sceptycyzmem (wynik wychowania w atmosferze kultu dla zach. europejskiej estetyki burżuazyjnej).

Obecnie po pobycie na kursie rozumiem, że nie ma innej twórczej metody jak realizm socjalistyczny. Na kurs przyjechałem bez odpowiedniego przygotowania, nie skorzystałem więc z niego tak wiele jak koleżki oczyniły w marksizmie-leninizmie. Postanowiłem uzupełnić swoje wiadomości i intensywnie pracować na terenie Kola Artystycznego.”

Chierowski Józef
Wrocław WSSP, III r.



Fragment wystawy malarstwa na Festiwalu Poznańskim

LUDWIK FLASZEN

MORELE NIE WYDAŁY OWOCÓW

Oto typowy schemat inteligentkiego dramatu: osobnik o skłonnościach hamletycznych o nadmiarze świadomości i samowiedzy, usiłuje przelać w sobie niezdołność do czynu i poczucie własnej bezużyteczności. Rzucony między tryby ścierających się sił społecznych odczuwa konieczność opowiedzenia się po którejś ze stron. Decyzji swojej przypisuje znaczenie rozstrzygające nie tylko dla losów własnych ale i... świata — świadomość swojej znikomości kojarzy z wysokim poczuciem misji historycznej. Z tym większą też gorliwością oddaje się manii samooskarżycielskiej. Swoje rozterki wewnętrzne stylizuje na dramat sumienia.

Ten schemat perypetii duchowych inteligenta jest skutkiem jego sytuacji w ustroju kapitalistycznym. Faktyczna jego pozycja przypomina pozycję drobnego twórcy lub wręcz proletariatu: inteligent jest robotnikiem najemnym. Tyle, że zamiast łopaty i młota posługuje się piórem i cyrkiem. Lecz z chlebodawcą łączy go więzy bardziej ścisłe: przecież został wynajęty po to, by produkować ideologię, kulturę. Ponieważ zaś inteligent jest robotnikiem od spraw „ducha”, ceni się go wyżej od tkacza lub murarza. Ma dostęp do parków saloonów, a placu najmiły, jaką otrzymuje, nosi subtelna nazwę „honorarium”. Uprzywilejowane stanowisko czebyżajowo-towarzystwie stwarza mu iluzję przynależności do klasy panującej, przesłaniając prawdę o położeniu faktycznym. To skłania do obrony istniejącego stanu rzeczy, do walki w interesie burżuazji. Ale istota sytuacji predysponuje go do myśli o zmianie, do buntarskiego marzycielstwa. Sprzeczność pozycji inteligenta w społeczeństwie kapitalistycznym powoduje jego wewnętrzne rozdarcie i rozterki, wzmagające się w okresach szczególnego napięcia walki klasowej.

Było to może najbardziej typowe dla inteligencji Rosji — tego kraju, do którego przesunęło się centrum europejskich ruchów rewolucyjnych. Było typowe — pod wpływem tych samych co w Rosji czynników — dla

inteligencji polskiej Królestwa Kongresowego.

Wśród licznych pozycji prozatorskich z zakresu „obrachunków inteligentkich”, jakie ukazały się po wojnie, książka W. Melcer* zajmuje miejsce szczególne — jako powieść w pewnym sensie historyczna. Siega do lat schyłkowych ubiegłego stulecia, kiedy z całą ostrością zarysował się w Polsce zasadniczy konflikt kapitalizmu. Ruch robotniczy wkroczył w fazę walki zorganizowanej, powstały obiektywne warunki do stosowania w praktyce wskazań socjalizmu naukowego; z drugiej strony wytworzyły się ideologiczne i partyjne sprzymierzone w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa burżuazji i ziemiaństwa. SDKPiL i Narodowa Demokracja — oto przeciwstawne bieguny zmagających się sił. Przed inteligencją stał problem wyboru. I wyboru tego dokonali nawet ci, którzy sądzili, że go dokonać nie potrzebują nie chcą, lub nie potrafili. W czasach, o których traktuje powieść, biorą swój początek zasadnicze orientacje światopoglądowe i polityczne inteligencji polskiej.

Kwestię tę ujmują „Morele Madzi” w tradycyjnych konwencjach „sumienia”, jak to pierwszy uczynił Żeromski. Podobnie jak u Żeromskiego próba inteligentkiego sumienia są malarzynie sadzawki w Cisach, tak u W. Melcer jest nią sprawa ściganego rewolucjonisty Balcerzaka. Stąd bohaterowie W. Melcer dzielą się na dwie kategorie: na tych „z sumieniem” i tych „bez sumienia”. Oto ich sylwetki:

Anna jest piękna i nieczula, obojętna jak jakiegokolwiek sprawy poza własną osobą, pogardza mężczyznami, od których prócz uwielbienia domaga się pieniędzy. Ta wytworna esteta, pogrążona w kontemplacji własnej urody, wyraża się o Balcerzaku z przejęciem nie większym, niż o niemądrej już sukni lub złamanej spinaczce do włosów. Jej narzeczony Jan, utalentowany muzyk, to młodziwiec dość lekkomyślny i podobnie jak Anna zapatrzyony w siebie. Wprawdzie jemu wolno, bo jest artystą... Ale Bal-

cerzakowi, — w którego imieniu zwrócono się doń o pomoc — odmawia noclegu. Rozumiemy: ta para to inteligenci bez sumienia. Przypuszczalne konsekwencje polityczne? Chyba jakaś prawicowa partia — może endecja? — choć Jan nadal będzie zapewniał, że jest szczerym „demokratą” i że nauka i sztuka wymagają bezinteresownego kapłaństwa, stojącego ponad doraźnymi sporami politycznymi... Głoszony w dobrej wierze mit apolityczności kultury na ustach obozu o niedwuznacznych dążnościach politycznych.

Aniela zdaje się być prostym przeciwnikiem swego siostry i szwagra. Jest pełna współczucia dla ludzkiego cierpienia, a choć poniesienia ofiary odkupicielskiej na wzór pierwszych chrześcijan każe jej kolportować rewolucyjną bibułę. Jest religijna. Zio stanowi dla niej konieczność metafizyczną. Walka z nim jest więc daremny wysiłkiem. Pozostaje pokora i — ucieczka. Aniela wstępuje do klasztoru. Przypuszczalne konsekwencje polityczne? Czy stanowisko sfer klerykałnych wobec rewolucji r. 1905 będzie także stanowiskiem Anieli?

Podobnie czuła na ludzkie cierpienie jest Elżbieta, choć uczucia swoje maskuje obojętnością naukowca, parującego na wszystkim jak na przedmiocie eksperymentów przyrodniczych. Zio posiada dla niej formę bardziej uchwytą; nie ma przyczyn metafizycznych, lecz biologiczne. Nieszczęścia trapiące ludzkość to dolegliwości fizyczne, choroby, którym jedynie nauka może zaradzić. Elżbieta nie rozumie jednak, że rozwój nauki i skala jej społecznego zastosowania jest funkcją warunków zgoła innych, niż biologiczne. Jeżeli zatem polepszenie doli człowieka zależy bezpośrednio od zdobyczy laboratoriów naukowych, czyż nie jest rzeczą obojętną, w czym i jakim laboratorium pracujemy? Znowu mit nauki apolitycznej. Liberalne złudzenia zapatrzonego w swój warsztat inteligenta. Z tego stanowiska walka i los Balcerzaka wydają się czymś zbędnym lub wręcz bezsensownym. O szczęściu człowieka rozstrzyga bowiem

uczony, nie rewolucjonista. Tylko że praca uczonego nie zawsze osiąga należyte rezultaty. Więc rozczarowanie.

I wreszcie — Zofia. Typ emocjonalny, wrażliwa na ludzką niedolę, jak wszyscy prometejscy bohaterowie Żeromskiego razem wzięci: „Wyzwała do siebie wszystkich, którzy cierpieli, czuła ich ból, ich słone łzy i pot jeszcze bardziej słony, ich krwawe rany, czuła nieznośny ciężar, jaki dźwigiła”. Zło ma dla niej źródło konkretne: porządek społeczny. Ale porządek społeczny można zmienić: Zofia zbliża się do partii proletariackiej (SDKPiL?), pomaga rewolucjonistom, kolportuje nielegalną literaturę, organizuje spóldzielnię. Dla niej jedynej sprawa Balcerzaka jest sprawą najbardziej bliską, niemal intymną. W niej jedynej mechanizm inteligentkiego sumienia działa prawidłowo i niezawodnie, sygnalizując wysokie ciśnienie społecznej prometeizacji. Ciśnienie to jednak przewyższało aktualne możliwości urzeczywistnienia. Judyd w spódnicy, usiłujący zrobić rewolucję, rzuca się do studni.

Bilans „inteligentkich rozrachunków” wypadł ujemnie. Anna i Jan pędzić będą syty żywot burżuazji; Aniela, wstępując do klasztoru, wycofała się ze spraw tego świata; Elżbieta przybrała zrezygnowaną postawę rozczarowanego humanitaryzmu; Zofia załamała się, popielając samobójstwo. Powieść kończy się zdaniem: „Przecież z moreli Madzi ani jedna nie wydała w tym roku owocu”. Co oznacza: wysiłki inteligentki okazały się daremne. Sens utworu sprowadza się więc do oskarżenia: jesteście oportunistami lub ludźmi słabymi, niezdolnymi do twórczego działania. Niestety, konstytucja artystyczna książki zdaje się sugerować coś innego.

Zwróćmy uwagę na pewien znamienity rys formalny: w powieści przeważa monolog lub typ mowy pozornie zależnej. A zatem wiedza autorki o świecie identyfikuje się z wiedzą postaci; inaczej: na świat zmuszeni jesteśmy patrzeć oczyma bohaterów. Nie wiemy, jak wyglądał Paryż naprawdę, wiemy tylko, co myślała o nim i czuła Elżbieta. Nie znamy Anieli prawdziwej znany tylko jej własne sądy o sobie oraz sądy innych. Postać i rzeczy są jak zwierciadła ustawione na przeciw siebie, które wzajemnie zwielokrotniają swoje odbicia. Wytwarza się błędne koło widzeń i ocen.

Ponieważ akcja ukazana jest od wnętrza bohaterów, braku obiektywnej skali porównawczej, która by wyznaczała istotny wymiar dramatu. To już nie bohaterowie wyobrazają sobie własne konflikty i znaczenie swoich decyzji i postępów, to wyobrazili ją autorka. Nie dość na tym. Wiemy o bohaterach, że są — może z wyjątkiem Anny — *subiektywne* uczeni. Ale są krótkowzroczni, co jest oczywiście historycznie usprawiedliwione. Autorka jednak nie demaskuje ich krótkowzroczności. Skąd więc mamy wiedzieć, że są *obiektywne* nie w porządku, skoro postawiamy w zaczarowanym kręgu ich własnych sądów o sobie i świecie? Tak oskarżenie przeistacza się niepostrzeżenie w obronę. Bo trzeba rozgryźć ludzi, którzy są uczeni i tragiczni.

Ukazanie postaci od ich strony wewnętrznej grozi nie tylko zafalszowaniem historycznych proporcji ich dramatu, ale postawieniem go całkowicie poza historią, uczynieniem zeń konfliktu czysto osobistego, prywatnego, pozbawionego siły typującej. Stąd zaburzenia w motywacji. Skutki są wprawdzie oczekiwane, niemniej paradoksalne. Rwący się wątkom motywacyjnym przychodzi z pomocą — fizjologia kobiet. Aristokratyzm i wielkopanieńskie urosczenia Anny — to fanerie wywołują „frigidację”.

Rewolucyjny entuzjazm i wzloty prometejskie Zofii — to wysublimowane wyładowanie niezapokojonego w małżeństwie popędu pociowego oraz instynktu macierzyńskiego. Rozczarowany humanitaryzm Elżbiety — to po prostu czule serce kobiety, miotane między litością do cierpienia a wstrętem do jego szpetoty i tła. Na karb kobiecej niekonsekwencji trzeba również złożyć sprzeczności w postępowaniu Zofii. Ta rewolucyjna działaczka utrzymuje stosunki towarzyskie z carskimi dostojnikami, a z oficjalną kochanką jednego z nich łączy ją coś w rodzaju przyjaźni, opartej na zasadzie kobiecej solidarności... „Każda z nas wyżywa się przeciw innej” — powiada Elżbieta. I niestety ma rację.

Fizjologia zamiast praw społecznych, temperament zamiast społecznej typowości — oto pierwszy aspekt natury.

Książka ma jednak ambicje oddania rysów charakterystycznych epoki.

Słowem, ambicje realistyczne. Wynikałoby to z przedmowy, która świadczy o szczegółowych studiach autorki nad okresem, a z której dowiadujemy się m. in., że wszystkie postaci są autentyczne, że na autentycznych danych oparte są opisy mieszkańia i Instytutu Pasteura, że nawet „suknie autentyczne noszone (były) przez opisywane osoby”. Lecz jeśli ludzie przestają być reprezentantami czasu, nie pomagają ani autentyczne suknie, ani pluszowe portiere, ani rzeczywiste postaci, ani nawet-frazeologia polityczna, jaką od czasu do czasu posługują się niektórzy bohaterowie. Coż bowiem z t. zw. obrazu epoki pozostaje? Realia. Masa szczegółów, rejestr faktów i fakiolków, chaos gazetowych wzmianek o wydarzeniach — nic więcej. Tak spreparowana „epoka” przypomina gabinet osobliwości, pełen starożytnych przedmiotów lub co najwyżej zdemolowane muzeum, w którym porozrucano oknospaty.

Inwentarz zamiast ciągów przyczynowych, sioma zamiast syntezy, fotografizm zamiast obrazu — oto drugi aspekt natury.

Nieprzekonywujący jest obraz epoki, pozbawiony swoich typowych ludzi. Nieprzekonywujący są ludzie, którzy nie mogą się wylegitymować paszportem swojego czasu. I choćby Zofia posługiwała się terminologią najbardziej polityczną, a piękna i nieczula Anna włożyła najautentyczniejszą suknię, „Morele Madzi” nie mogłyby pretendować do miana powieści realistycznej. Bo realizm nie jest ani charakterologią, ani faktografią, lecz sztuką syntez i uogólnień. A słoń pod mikroskopem niewiele różni się od ameby.

P. S. Na str. 175 „Moreli Madzi” czytamy: „Kiedyś dorwał się do „Horztyńskiego” z wtywnym, piękno-głosym Józefem Sliwickim, w roli hamletyzującego młodzieńca — i długie miesiące chodził w jarmie czarujących wierszy”. Gwoli ścisłości faktycznej stwierdzić należy, iż „Horztyński” — w przeciwieństwie do większości dramatów Słowackiego pisany jest nie wierszem, lecz prozą. Wątpliwe więc, czy Anatol Władimirowicz mógł „chodzić w jarmie czarujących wierszy”.

Ludwik Flaszen

* W. Melcer: „Morele Madzi” Sp. Wyd. „Książka”, Warszawa 1948, str. 254.

LESZEK GOLIŃSKI

WALKA O JAKOŚĆ RUCHU ŚWIETLICOWEGO

Na terenie Dolnego Śląska istnieje w tej chwili 605 świetlic zarejestrowanych, rozsypanych po wszystkich, najbardziej nieraz zapadłych wsiach. Rok temu było ich tylko 233, za rok będzie 800.

Na Dolnym Śląsku istnieje w tej chwili 387 bibliotek wiejskich, rok temu było ich zaledwie 72, za rok będzie 600.

Na wsi dolnośląskiej istnieje w tej chwili 323 zespołów artystycznych, zarówno teatralnych, jak chóralnych i tanecznych. Rok temu było ich tylko 14, za rok będzie 373.

Ilość kursów dla analfabetów, zorganizowanych przez ZSCh i pozostających pod jego opieką wzrosła z 379 do 400, powstanie 320 zespołów Wszechnicy Radiowej, 600 zespołów oświaty rolniczej.

Wyniki i osiągnięcia poważne. Rok 1950 przyniósł jednak nową koncepcję na odcinku pracy kulturalno-oświatowej na wsi: plany, które dotychczas nastawione były na ilość świetlic, zespołów artystycznych, kursów dla analfabetów — łącznie będą przede wszystkim po linii j a k o ś c i.

Okazało się bowiem, że wiele zarejestrowanych świetlic nie wykazuje należytej działalności, lub stosuje zły, fałszywy styl pracy. Okazało się, że zespoły artystyczne zaopatrywane były w zły materiał, albo nie zaopatrywane wcale.

Na wsi szerzyło się coraz powszechniej zrozumienie dla roli świetlic. Wiele niejednokrotnie darownie czekała na otwarcie świetlicy, a nie mogąc się doczekać, sama, własnymi siłami stawała do budowy budynków świetlicowych. 60 procent wszystkich obiektów, nadających się na świetlice wiejskie, zostało już w województwie wrocławskim oddanych do użytku na cele świetlicowe.

W powiecie świdnickim wydatkowano na remonty świetlic gromadzkich z funduszy gminnych 1.500.000 zł. Gminy Pszenno, Stanowice, Lutomia zamiast czekać na inwestycje, same zorganizowały szereg imprez i z zebranych funduszy w kwocie 500.000 zł przystąpiły do remontów swoich świetlic.

W Ludwikowicach zespół świetlicowy dał bezpłatne dniówki przy remoncie domu ludowego na sumę wartości ogólnej ponad 200.000 zł i zaoszczędził około 100.000 zł na

kosztorysie malarskim, przeprowadzając roboty malarskie własnymi siłami.

Śladami Ludwikowic poszła gromada Pawłów w pow. trzebnickim, remontując własnymi siłami świetlicę i oszczędzając w ten sposób ćwierć miliona złotych.

Wszystkie te fakty świadczą o potrzebie świetlicy.

Do świetlic wprowadza się nowy styl pracy. 57 etatowych kierowników świetlic w terenie, kilkudziesięciu słuchaczy Ośrodka Szkoleniowego we Wrocławiu, 240 zakontraktowanych nauczycieli szkół podstawowych, pracujących na kursach dla zwalczania analfabetyzmu — wszystko to gwarantuje, że nie powtórzą się dawne błędy w pracy świetlicowej, że praca ta przybierze teraz zupełnie inne formy.

*

Ale, aby została ona uwieńczona pełnym sukcesem, siły samej wsi okazały się, przynajmniej na bieżącym etapie, za słabe.

Bo co pomoże szkoleniu i doszkalanie nowych etatowych kadr, choć praca instruktorów, którzy z braku środków lokomocji nie mogą często dotrzeć do najludniejszych wsi, choć nawet znaczne fundusze, łożone na ten cel — skoro krzewić się będzie wciąż jeszcze pojęcie taniego społecznictwa, łązwo-sentymentalnej ludowszczyzny, skoro sukmana i rogatywka krakowska są sroczymi piórami przesłoni włościwy cel istnienia świetlic, właściwy ich sens?

Nie bądzmy gołośni: czy może być inaczej, gdy zarówno w ośrodku szkoleniowym, znajdującym się we Wrocławiu, a jednym z największych w Polsce, bo grupujący około 500 słuchaczy-aktywistów ZSCh, jak w najbardziej produkcyjnych świetlicach terenu — łącznie się ciągle i zapamiętało tylko jedną sztuczkę świetlicową — „Wesele Jagny”? Skoro jedyny teatr kukielkowy wiejski w Stoszowcu (pow. ząbkowski) skarży się na brak repertuaru i materiału, skoro w świetlicach — nawet tych najlepszych — ciągle jeszcze zwisają ze ścian poskręcane, drobniomieszkańskie bibliki, biało-czerwone albo zielone, a na ścianach straszą potworne oleodruki.

Czy zapaf! szczyrzych społeczników, doświadczenie wykwalifikowanych kadr, czy miliony złotych nie są tu wydawane na darmo, na

niewłaściwy zupełnie cel, czy praca i fundusze nie toną w ogromnym bagnie mieszczaństwa i tandety, które zalewa polską wieś na niektórych rejonach?

Co grają wiejskie zespoły świetlicowe? Jak się przedstawia strona dekoracyjna świetlic? Z jakich książek składają się i jak funkcjonują biblioteki wiejskie? Czy wyposażone są w radiodbiorniki? Repertuar teatrów świetlicowych jest ubogi, niż ubogi. Festiwal Sztuk Rosyjskich i Radzieckich w listopadzie ub. r. był potężnym zastrzykiem energii i doprowadził do znacznego ożywienia życia świetlicowego i uzdrowienia stosunków. Dolny Śląsk nie pozostał w tyle i pochłubił się może pięknymi wynikami indywidualnymi: tancerze ze Stobrawy, zespół teatralny z Kraszowic, ze Smarchowic Wielkich, z Dolnika zdobyły nagrody w eliminacjach wojewódzkich. Chór z Bąkowiec i zespół teatralny z Mirska zajęły pierwsze miejsca w Warszawie.

Ale repertuar sztuk radzieckich, radziecka pieśń masowa i kilka ludowych piosenek polskich, przetransponowanych na chór, nie wystarcza. Jeszcze gorzej przedstawia się strona dekoracyjna świetlic. Naturalizm najgorszego gatunku krzewi się jeszcze, przy tym niedostatek w umebowaniu. Biblioteki wiejskie szybko rosną w ilość i jakość książek. Nie wszystkie jednak oczyszczone są ze szkodliwej, sensacyjnej lub wręcz brukowej literatury, a cenne książki nie wykazują śladów zniszczenia, tak, jakby ich nikt nie czytał. Dlaczego tak się dzieje? Księgozbiory wiejskie przechowywane są powszechnie z braku odpowiednich pomieszczeń w domach prywatnych bibliotekarzy. Książki nie są oprawione w sztywne okładki, a nie oprawionych regulamin nie pozwala pożyczać, więc nie pożyczają się ich w ogóle. Biblioteki są skape, liczą przeciętnie 80—83 książki: spółdzielnie gminne „Samopomoc Chłopskiej” nie czynią niczego, aby te księgozbiory powiększać i urozmaicać. Przy tym na dobór książek należałoby zwracać więcej uwagi; innej książki potrzeba dla wsi, gdzie dużo jest analfabetów, gdzie mieszczą głównie reparatoriści ze wschodu, stojący intelektualnie znacznie niżej od chłopów z poznańskiego czy opolan, którym trzeba już lektury innej, bardziej odpowiadającej ich zmiłowanom. Natomiast zupełnie nie na miejscu są np. powieści Brezy czy nowela Iwaszkiewicza (ze względu na wysokość, za trudny dla chłopów poziom ich prozy).

Nie uwzględnia się natomiast w dostatecznej mierze literatury fachowej i ideologicznej. Radiofonizacja świetlic wiejskich poczynała duże postępy, ale Społeczny Komitet Radiofonizacji Kraju, przynajmniej na terenie

Dolnego Śląska, zwraca znacznie większą uwagę na radiofonizację miast i miasteczek, niż wsi. Radiodbiorniki, rozsyłane po powiatach, na wieś, w dużym procentie zelektryfikowaną nie trafiają i wracają do miast, radioweszy zaś nie wszędzie rozwiązują sprawę, przy czym rozdział ich powinien uwzględniać w pierwszym rzędzie wieś bardziej upośledzoną, zakładającą spółdzielnie produkcyjne bądź też już przekształcone w spółdzielnie.

Wysnuć stąd można konkretne wnioski: Wsi potrzebna jest pomoc literatów. Powinny powstać polskie jednoaktówki dla teatrów świetlicowych, oznaczające się wszelkimi walorami artystycznymi i ideologicznymi. Tematyki chyba nie brak. Ustać musi dotychczasowy stan, kiedy na scenę wiejską albo trafiały szmiry, albo nieaktualne i bzdurne przedwojenne komedjki, albo wręcz nieuczynione jedną sztukę do znużenia. Kursanci ośrodka szkoleniowego we Wrocławiu chórem recytują całe „Wesele Jagny”; każde dziecko wiejskie zna je już na pamięć. Jednoaktówki zastępowano w braku innego materiału inscenizacjami, niepełnymi trafnyymi, jak n. p. inscenizacją „Świętziątki” z wszelkimi detalami, dotyczącymi bohatera ballady. Jakże wypaczony obraz Mickiewicza musiał pozostawać na wsi, uraczonej taką parafrazą poety!

Wsi potrzebna jest pomoc plastyków, ale nie taka, jak to zdarzyło się również w pewnym mieście, gdzie uczniowie szkoły plastycznej na koszt ZSCh dał wizerunek świetlicy sfabrykowały dekoracje — skrajnie formalistyczne. Plastycy winni pomóc zespołom kukielkowym, powini zająć się wzorową dekoracją świetlic, powini zająć się wzorowymi dekoracjami do sztuk świetlicowych: projekty tych dekoracji powinny znajdować się już w wydanych drukim tekstach sztuk. Wszystkie te wnioski nasuwają się na podstawie obserwacji jednego tylko rejonu — Dolnego Śląska. Niewatpliwie, z takimi czy innymi modyfikacjami — są to spostrzeżenia, aktualne także i na innych terenach kraju. Specyficzne cechy mieszkańców wsi dolnośląskiej, ich różne pochodzenie etnograficzne — zamikły już: wieś ta prawie niczym nie różni się od wsi w pozostałych rejonach kraju, wyjąwszy nieco wyższą kulturę rolną, znaną z tego województwa.

Pomoc, udzielona przez miasto, przez literatów, muzyków, plastyków, przez twórców zjawisk kulturalnych i organizatorów życia kulturalnego wsi, wyrzec musi zbawienne skutki. Walka jakoś w stylu pracy świetlicowej ZSCh uzaledniona jest od tej pomocy w bezpośredniej formie.

Leszek Goliński

MACIEJ KOLIBA

PISARZ Z POMOCĄ DANKOWICOM

„Mówiłem już, że walka klasowa toczy się w samych spółdzielniach z wpływami, z przenikaniem bogacza wiejskiego. Toczy się ona wokół takich zagadnień, jak wkłady inwentarowe i dniówki obrachunkowe. Ale są i inne formy. Mamy wręcz fakty terroru, podpaleń, grózb i szeptanej propagandy. I trzeba stwierdzić, że niekóre nasze spółdzielnie produkcyjne nie są nastawione ofensywnie wobec bogacza wiejskiego, że gdzieś niedługo przemyka się oportunistom w stosunku do bogacza wiejskiego.

„Ty mnie nie ruszaj i ja ciebie nie będę ruszał”. „Ty mnie nie szkodzi i ja tobie nie będę szkodził. Jasne, że bogacz szkodzi — niekiedy w formach nieuchwytnych, cichych ale szkodzi stale”.

Przytoczyliśmy powyższy cytat z referatu Romana Zambrowskiego, wygłoszonego na naradzie sekretarzy Komitetów Wojewódzkich i Powiatowych PZPR w d. 31 stycznia 1950 roku. Celem narady było zapoznanie aktywistów partyjnych z sytuacją gospodarczą i polityczną istniejącą w spółdzielniach produkcyjnych. Dokładna analiza tej sytuacji dokonał przez Biuro Organizacyjne KC PZPR charakteryzując te spółdzielnie, skupiając uwagę na ich osiągnięciach, wnioskując równocześnie w ich „słabości i niedomaganiu” poto, by „wskazać środki ich przewyciężenia”.

Faktem jest, że poważna ilość spółdzielni potrafiła pracować w sobie zorganizowaną wzorowo. Faktem jest jednak, że część ich boryka się z poważnymi trudnościami. Z materiałów statystycznych wynika, że słabo w nich przebiega deklarowanie wkładów inwentarowych, że często nieprawidłowo gospodarują kredytami i najpoważniejszy zarzut — nie wszyscy członkowie tych spółdzielni są czynnie, roboczo zainteresowani w wykonywaniu nakreślonych przez zarządy spółdzielni i ogólne zabrania — planów.

Dane statystyczne mówią suchą, obiektywną prawdę. Poza nimi kryje się jednak życie tych pierwszych spółdzielni, które — jak mówi Roman Zambrowski — „nie powstały w jakichś szczególnych wsiach, w jakichś szczególnie sprzyjających warunkach”. Odsłonić to życie, pokazać jego konflikty, pokazać ludzi, którzy je tworzą — oto pomoc, jaką w dzieło budowy socjalizmu na wsi może wnieść pisarz. Tę pomoc zadeklarował Witold Zaleski. Jego cykl reportaży drukowanych w styczniowym numerach „Odrodzenia”, „Traktory zdobędą wiosnę” to opowieść o spółdzielni produkcyjnej w Dankowicach w powiecie Białym Krakowskim. Jest to w naszej bieżącej literaturze pierwsza ambitniejsza próba zmierzenia się z rzeczywistością co dopiero narastająca, co dopiero układającą się w uchwytnej dla obserwatora kształt.

Pisarz nie wybrał efektownego terenu. Poszedł tam, gdzie toczy się trudna walka. Dankowice to jedna z tych spółdzielni, która w ogólnie poprzez dane statystyczne mogła w listopadzie ubiegłego roku budzić poważne zaniepokojenie. Liczyła 64 członków, wśród nich 22 miało konie, ale z dniówek obrachunkowych wynikało, że tylko kilkunastu chłopów pracuje „na spółdzielni” a koni zadeklarowano zaledwie cztery. Czyżby więc spółdzielnia „dekretowana”, czyżby chłop — jej organizatorzy nie rozumieli, czy nie odczuwali jej potrzeby? Tu właśnie trzeba było czujnego oka pisarza, który by sprawę potrafił rozryźć klasowo, który by w istniejących jeszcze niedomaganiach dziesiątków Dankowic miał ujrzyć i literacko postawił toczącą się walkę klasową na wsi, na jej najbardziej dziś zapalnym odcinku — spółdzielni produkcyjnej.

To ambitne zadanie postawił sobie autor reportaży „Traktory zdobędą wiosnę”. Fakty przez niego wybrane i przedstawione konstruuja się w obraz dramatycznych zmagani kierującego dankowicką spółdzielnią aktywistów, zmagani o przekształcenie siebie, o przekształcenie wszystkich członków spółdzielni na ludzi, którzy myślą, czują, działają według porządku, jakimi wyznacza im nowe życie. Nie łatwo przychodzi chłopu opanowanie nowych form pracy, nie łatwo dopracowanie się nowego stosunku do wspólnego społecznego posiadania. W pomysłnej atmosferze przedej wiedzy stare nawyki przy ostrzejszej świadomości klasowej szybciej kruszy się przyrost do prywatnej własności. Czy pomysłny jest jednak w Dankowicach klimat dla przyszłości tych procesów. Zaleski sygnalizuje nieuchwytnie narastający opór. Widomym jego znakiem jest bierność znacznej części członków spółdzielni. Jest niedeklarowanie przez zamężniejszych — koni i paszy — i to w momencie dla losów spółdzielni rozstrzygającym. Spółdzielnia stoi przed wykonaniem orki jesiennej. Ma do dyspozycji tylko jeden traktor, który w rozmięklej, gliniastej ziemi nie może wydajnie pracować. Potrzeba koni, a zadeklarowanych jest tylko cztery — na 60 ha do zaozrania i przy perspektywie przymrozków. Sytuacja

dla kierownictwa cęłka. To pierwsza próba wykonania planu, jeżeli się nie uda, to przedpadnie u ogółu wiara w wyższość zespołowego gospodarowania — spółdzielni grozi rozpływka. Wykonanie orki to okrzepienie spółdzielni. Te świadomości posiada Niedźwiedź i Adamaszek, drobniorolni chłopci, dawni przywódcy biedoty wiejskiej, wyrosli w tradacjach kapepowskich — dziś organizatorzy i kierownicy spółdzielni.

Słusznie Zaleski skupił swoją uwagę na tym kryzysowym dla spółdzielni momencie. Tylko w takiej sytuacji udało mu się wydobyc z portretowanych przez siebie postaci, w pierwszym rzędzie Niedźwiedzia — jego hart, twardość i klasową przenikliwość. Najważniejsze jednak, że dało mu to okazję do wykrzycia w Niedźwiedziu głębokiego poczucia odpowiedzialności za sprawę spółdzielni — odpowiedzialności społecznej. Aktywi dankowickiej spółdzielni wie o co walczyć, i przeciw komu jest ona wymierzona.

Spółdzielnia obejmuje nie całą gromadę. Są poza nią jej śmiertelni wrogowie — grupa kulaków, są średniololni a także resztki obalumuconych i pozostających nadal pod wpływem „przykościelnego placu” — drobniolnych. Przecież innych i trzech należało zdobyć, przekonać. O ten cel rozszerza się poczucie odpowiedzialności Niedźwiedzia. Można go osiągnąć przez dobre, wzorowe postawienie gospodarstwa zespołowego. Każde jej niedociąganie to klęska, to cofnięcie tej właśnie dużej sprawy, sprawy umasowienia ruchu spółdzielni produkcyjnej.

W jaki sposób autor odsłania pleterację się w Dankowicach trudności? Czy wprowadza w opowiadanie kulak wprost, jako wroga spółdzielni siłę? Nie. Odkrywa jego działanie poprzez pokazanie rozkładowych rysów na kilku członkach: na rozpianym Szymie, na obstawionym „kuzynowskim” zakazami Madze, czy na Tatoniu przekupianym zyskową u Rychty robotą. Walka toczy się skryta, ale ślady jej są widome.

Członkowie spółdzielni dankowickiej to w większości drobniololni chłopci, poza nimi kilku dawnych formali nadziolonych z folwarcznej resztki i kilku średniaków. Jasne, że wkład inwentarowy pierwszych i drugich nie mógł być wielki. Na mocniejsze wsparcie spółdzielni liczyło się od strony średniaków, ale ci ciągle jeszcze zajmowali postawę wyczekującą. Ich przede wszystkim obstawiają kulacy. Atak jest koncentryczny: przez odciąganie od spółdzielni konnej siły roboczej, przez re pianie i obalumuwanie członków, przez wścawanie w chwylnej jadu zwątpienia. Na skutek takiej akcji średniacy nie deklarują koni tak gwałtownie potrzebnych do przeprowadzenia orki. Jeżeli się nie przewycięży bierności, jeżeli się nie zdemastuje obozu wroga sprawie spółdzielni, jeżeli się nie ujawni przed wszystkimi zainteresowanymi jego taktyki — plan grozi zawaleniem. Siłą Niedźwiedzia, Adamaszka, Iskrowej jest to, że są świą domi działająca wroga klasowego, jego metod i taktyki. To pozwala im na zajęcie skutecznej postawy ofensywnej wobec dankowickich bogaczy, pozwala pokrzyżować ich plany, wyrwać spod ich wpływów obalumuconych ludzi. Po zwolnym zebraniu, które było przełomowe dla sprawy, Niedźwiedź sumuje wyniki: „W niedzielę pojadą trzy pary orac, we wtorek cztery i dwa traktory... Teraz to poradzimy... Ten krow który postąpił dzisiaj był specjalnie trudny. Zepchni wroga wydarli mu kilku ludzi, ugodzili go celnie — Zebrania trzeba częściej organizować — wnioskuje — Od ludzi się nie odradzać...”.

Doniósł też znaczenie reportaży Zaleskiego ze względu na ich funkcję społeczną. Stanowią one dużą wartość mobilizacyjną dla czytelnika wiejskiego, pokazują aktywnol robotniczymu jak konieczna jest jego stała czujna pomoc dla dziesiątków spółdzielni takich jak Dankowice. Z pomocą Dankowicom powinni przyjsić i pracownicy kulturalni. Na razie można by pomyśleć o przerbce reportaży Zaleskiego na sztukę, dla teatrów amatorskich: wiejskich i robotniczych. To byłoby celne narzędzie mobilizowania sił dla sprawy spółdzielni.

SPROSTOWANIE

W artykule moim p.t. „Zagadnienie urbanizacji w Polsce” zamieszczonym w numerze „Wsi” z dnia 5.II. 1950 r., wkradły się następujące błędy drukarskie:

W spalcie drugiej ustęp pierwszy:

Zamiast: nieekonomicznego przemienienia funkcji... powinno być: nieekonomicznego przemieszczenia funkcji...

Ustęp ostatni: Zamiast: ...znaczenie warunków materialnych... powinno być: znaczenie warunków naturalnych...

Bolesław Malisz

KOMUNIKAT

Przywołując szczególną wagę do szkolnego nauczania historii i dążąc do stworzenia marksistowskiego podręcznika historii Polski, Ministerstwo Oświaty rozpisuje niniejszym

konkurs

na napisanie podręcznika historii Polski (z uwzględnieniem zasadniczych wiadomości z historii powszechnej) dla klasy IV szkoły podstawowej (dzieci w wieku 10—11 lat).

Warunki konkursu:

- 1) Konkurs jest otwarty, udział w nim mogą wziąć zarówno poszczególne osoby jak i zespoły autorskie czy zakłady naukowe.
- 2) Termin składania maszynopisów ustala się na dzień 1.VI.1950 r. Maszynopisy w trzech jednobrzmiących egzemplarzach ewentualnie czytelny rękopis nadesłać należy pod adresem: Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, Kraków 9, sekretariat redakcji podręczników historii Polski.
- 3) Maszynopisy ew. rękopisy mogą być zaopatrzone w nazwisko autora bądź w dowolne hasło.
- 4) W pracy autorzy winni oprzeć się na następujących dokumentach instrukcyjnych i programowych: a) tezy metodologiczne dla autorów podręcznika historii Polski, b) tezy dydaktyczne dla autorów podręcznika historii Polski, c) projekt periodyzacji historii Polski.

Wymienione pod a), b) c) materiały otrzymać można w PZWS (adres j. w.) na żądanie ustne lub listowne.

5) W toku pracy autorzy mogą zwracać się po konsultacje (adres j. w.), przewidziane są konferencje autorów i zespołowe oceny napisanych części podręcznika.

6) Maszynopisy, ew. rękopisy nadesłane na konkurs, zostaną ocenione do dnia 1.VIII.50 r. przez jury, powołane przez Ministra Oświaty.

7) Dla autorów najlepszych prac, zatwierdzonych do użytku szkolnego, ustanowia się premie w następującej wysokości:

- 1) Prezesa Rady Ministrów 400.000 zł
- II Ministra Oświaty 300.000 „
- Ponadto przyznane będą 2 wyróżnienia po 150.000 zł.
- Ministerstwo Oświaty zlecą PZWS zakup i wydanie drukiem najlepszej, względnie najlepszych prac.

8) Zgłoszenia uczestnictwa w konkursie nadsyłać należy do PZWS (adres j. w.) w terminie do 15.III 1950 r.

MINISTERSTWO OŚWIATY

Warszawa, 10.I.1950 r.

KOMUNIKAT PRASOWY

Zakończony został pierwszy etap Festiwalu Sztuk Radzieckich w teatrach Młodego Widza i Lalek.

KOMUNIKAT MINISTERSTWA KULTURY I SZTUKI

Z 14-u teatrów z całego kraju, biorących udział w Festiwalu Sąd Konkursowy zakwalifikował do Finału 8 teatrów:

1. Państwowy Teatr Dzieci Warszawy, Warszawa — (gra „Ulicę Anny Rudenko” S. Ciurupy);
2. Państwowy Teatr „Baj Pomorski” z Torunia — (gra „Domek kotki” I. Marszaka);
3. Państwowy Teatr „Gulwer” Warszawa — (gra „12 Miesięcy” I. Marszaka);
4. Teatr Łątek z Gdańska — (gra „Czarodziejski kalosz” G. Matwiejewa);
5. Państwowy Teatr „Arlekin” z Łodzi — (gra „Złota rybka” E. Tarachowskiej);
6. Państwowy Teatr „Niebieskie Migdały” Warszawa — (gra „O rybaku i rybce” A. Puszkina);
7. Państwowy Teatr „Groteska” z Krakowa — (gra „Konik garbusek” P. Jerszowa);
8. Teatr T. P. D. „Baj” Warszawa — (gra „Czarodziejski kalosz” G. Matwiejewa).

Przedstawienia finałowe odbywać się będą w teatrach warszawskich od 12 do 19 bm.

Teatry warszawskie dają przedstawienia w salach własnych, teatry przyjezdne: w Państwowym Teatrze Rozmaitości oraz w Państwowym Teatrze Małym.

KOMUNIKAT MINISTERSTWA KULTURY I SZTUKI

W dniu 30 stycznia br. odbyła się pod przewodnictwem Ministra Dyplomatycznego w Ministerstwie Kultury i Sztuki w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 17 — konferencja przedstawicieli władz centralnych S. R. Z. Z., Zw. Sam. Chł., ZMP, organizacji politycznych oraz zainteresowanych resortów w sprawie budowy Centralnego Domu Kultury w Warszawie, jak i terenowych Domów Kultury w całym kraju. Wyczerpujące wypowiedzi i dyskusje, podkreśliły konieczność powstania tego typu domów w celu ujednolicenia sposobów oddziaływania i zaspakajania potrzeb kulturalnych najszerzych mas społeczeństwa.

Dla szczegółowego opracowania siatki Domów Kultury oraz planu i założeń Centralnego Domu Kultury, wybrano dwie komisje, w skład których wejdą przedstawiciele: Ministerstwa Kultury i Sztuki, Biura Amatorskiego Ruchu Artystycznego oraz organizacji masowych.

KRONIKA WYDAWNICZA

Wśród naszych współczesnych, czołowych wydawnictw „Czytelnik” wykazał chyba najwięcej pomysłowości w dziedzinie tworzenia nowych form masowego upowszechnienia książki, osiągając przy tym bardzo poważne rezultaty.

Nie wszystkie te formy w pełni, jak to się mówi „chwyciły”, wszystkie jednak zaskują na uwagę, spełniły bowiem w mniejszym lub większym zakresie przewidziane zadania, dając Instytutowi Wydawniczyemu „Czytelnik” duże doświadczenie, umożliwiające krytyczną ocenę dotychczasowych prób i szukanie nowych właściwych dróg upowszechniania książki. Przypomnijmy sobie pokrótce wydawnictwa „Czytelnika” z ubiegłych lat obliczone na masowego czytelnika, a więc 39 zeszytów „Biblioteki Romansów i Powieści”, wśród których znajdujemy dzieła wybitnych autorów polskich i obcych; szereg cykli „Wiedzy Powszechnej” składających się z wielu zeszytów w cenie kilkudziesięciu złotych i przynoszących czytelnikom popularny wykład z różnych dziedzin nauki; dalej 12 tomików w cenie 15 zł. każdy Biblioteczki Niepróżnującego Próżnowania „Omniibus”, 12 tomów Biblioteki w Prenumeracie (200 zł. tom), książki Klubowe „Odrodzenia”, Dobrej Książki, „Dom i Świat”.

Wspomnijmy jeszcze o utworzonej przez „Czytelnika” nowej formie wypożyczalni książek, jaką jest „Tygodniowa Biblioteka Obiegowa”, która jest kombinowaną formą wypożyczalni połączonej ze sprzedażą ratalną.

W akcji tej dającej dobre rezultaty uruchomiono dotychczas 240 tys. książek wśród 190.000 czytelników.

Poczynania te wykazały, że czytelnicy najchętniej nabywają wydawnictwa posiadające pełną formę książki, przy całkowitym powrocie Klubów, „Biblioteki w Prenumeracie”. Stąd mniejsze powodzenie „Omniibus” i „Biblioteki Romansów i Powieści”.

„Czytelnik” wyciągnął z tego doświadczenia odpowiednie wnioski i zapoczątkował z końcem ub. roku masowe wydawnictwo taniych, dobrych periodycznie wydawanych książek w cenie sto złotych za tom.

W ramach tzw. „Stuziotowej Biblioteki Czytelnika” ukazuje się co miesiąc pełnowartościowa książka 200 — 300 stronicowa, na razie w nakładzie ok. 20 tys. egzemplarzy. Książki te są wydrukowane formatu (13,5 x 18,5 cm.) układane na dobru papierze, mają jednolitą, estetyczną okładkę — są tanie i ładne.

Biblioteka ta dostarcza czytelnikom powieści współczesne i dawne, nowe, wydawnictwa popularno — naukowe i praktyczne podręczniki. Dotychczas ukazały się następujące tomy: J. Kraszewskiego „Czarna Perełka”, J. Kurczaba „Niczynjak” i H. Leberknecht „Światła w Koord” (tłum. z języka ros.). Dwie ostatnio wymienione powieści osnute są na tle życia ludzi świata pracy, walczących o urzeczywistnienie socjalistycznych form życia społecznego.

W najbliższym czasie ukazą się dalsze tomy z tej serii — G. Gullii „Dobre Miasto” i K. Paustowskiego „Opowieść o lasach”.

(Wys)

W numerze tygodnika „Wies”

z dnia 19 lutego 1950 r.

Bolesław Bierut — Fragment przemówienia. Jan Aleksander Król — Prezydent Polski Ludowej. Franciszek Fenikowski — Dziewczynka z gołębiem. Stanisław Skrzyszewski — Szkolnictwo wyższe i nauka. Stanisław Arnold — Pierwszy Kongres Nauki Polskiej. Leon Gomolicki — Puszkinologia marksistowska. Maria Zmigrodzka — Książki dla wszystkich. Samuel Sandler — „Czyszcenie bez przewodnika”. Borys Rurykow — Kalinin o zagadnieniach literatury. Tadeusz Rózewicz — W czyzy tak drogo okupionej. Klemens Oleksik — W styczniu 1945 r. Osiem Punktów (Kulturbandu). Zofia Rzepińska — Nowe Niemcy. J. Becher — Sztuka i naród. Andrzej Skupień Florek Dobrodziejstwo, którego wieś nie znała. E. Martuszewski — Bogaty plan. Mirek Marian — Krzyż Grunwaldu. Fren — O pewnym dzieciolów daremnym stukaniu. A Wera — Słabiej i mocniej. Plany wydawnicze PIW, 14 ilustracji, 8 stron.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL.
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr. 7.
Tel. Red. Nacz. 812.71 Tel. Redakcji 8.00.61 do 6 wewnętrzny 23 i 76.
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OSW. - C Z Y T E L N I K
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.
Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł. Należność za prenumeratę należy wplacać na konto PKO Warszawa I—6841 z zaznaczeniem „za tw. „Wies”
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik” Marszałkowska 3/5.
B-98871